Nr. 11. Poznań, dnia 12 marca 1911 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 97. **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Złoty jubileusz Centralnego Towarzystwa Gospodarczego

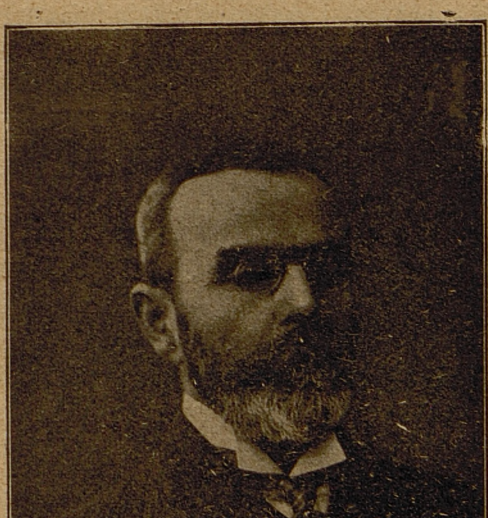
w W. Księstwie Poznańskiem.

Wchwili, gdy kreślimy te słowa, odbywają się w Bazarze doroczne obrady Centralnego Towarzystwa Rolniczego.

Tegoroczny zjazd członków jest szczególnie wielki i świetny, ponieważ Towarzystwo święci jubileusz półwiekowej zbożnej pracy na niwie społecznej.

Zasługi, jakie wielka ta i zasłużona organizacya rolnictwa naszego położyła około rozwoju społeczeństwa, są niezmierzonej doniosłości. Ze skromnych początków rozwinęła się instytucya imponująca, mogąca się powołać na ogrom dokonanej zbożnej pracy we wszystkich dziedzinach życia społecznego ziemiaństwa naszego.

Pracy tej szczególniejsze towarzyszyło błogosławieństwo Boże. W krótkim stosunkowo czasie potrafiła ona osiągnąć wielkie wyniki i to mimo zapory i przeszkody najróżnorodniejsze. Jej to zawdzięczamy dzisiajszy pomyślny stan gospodarstwa rolnego u nas, jej zasługą wzrost oświaty rolniczej i dobrobytu w kołach tak większych ziemian jak drobnych rolników, dla których kółka rolnicze stały się niejako popularnym uniwersytetem wiedzy rolniczej i bodźcem do coraz lepszej i umiejętniejszej pracy około roli. Ponieważ zaś społeczeństwo nasze w olbrzymiej większości jest społeczeństwem rolniczem, przeto rozwój rolnictwa jest równoznaczny z rozwojem społeczeństwa. To też zbożne skutki działalności oświatowej i organizacyjnej Centralnego Tow. Rolniczego, lubo skierowanej bezpośrednio ku podniesieniu rolnictwa krajowego, pośrednio całemu społeczeństwu nieocenione przyniosły korzyści. Świadczy o tem zanik tak żywej i inten-



Szambelan Dr. Tadeusz Jackowski, prezes obecny Centr. Tow. Gosp. od 1906 r.

sywnej swego czasu emigracyi zamorskiej, świadczy o tem świetny rozwój naszych banków ludowych, w których ludność rolnicza skada i czerpie kapitały, świadczy coraz lepszy rozwój kupiectwa i przemysłu naszego, znajdującego u miennej obecnie ludności rolniczej coraz szersze pole obfitego dla swych produktów zbytu. Co zaś za zysk stanowi dla społeczeństwa posiadanie licznego zastępu dobrze, a częściowo nawet świetnie sytuowanego większego ziemiaństwa, nie tylko pod materyalnym, lecz także moralnym i politycznym względem, tego tłumaczyć nie potrzeba. Nie tajna przecież, że właśnie ta warstwa społeczna jest w wielkiej mierze piastunem naszej kultury, że jej pracy liczne nasze organizacye społeczne i polityczne zawdzięczają swój rozwój i znaczenie, że jej ofiarnością stoi wielka część naszych usiłowań kulturalnych i humanitarnych. A również zapomnieć nie trzeba, jak wielkie dla społeczeństwa ma znaczenie samo istnienie większego ziemiaństwa naszego. W czasach, kiedy niemczyzna wysila się, by za pomocą roztoczenia bogatych środków materyalnej kultury usidlić umysły bezkrytyczne, poważny stanowi majątek narodowy posiadanie miennej i świetnej arystokracyi, której urok i znaczenie moralne przeciwstawia się brutalnej materyalnej sile biurokracyi hakatystycznej i samem swem istnieniem uprzytomnia prostaczkowi polskiemu dostojność i wartość polskiej kultury. Przez to, że działalność C. Tow. Gospodarczego podniosła także stan majątkowy większych ziemian naszych, pozwalający im nietylko na umeliorowanie gospodarstw, lecz na zaspokojenie pewnych wymogów umiarkowanego zbytku, dobrze się zasłużyło społeczeństwu. Każdy nowy pałac, każdy wytworny

nowy park założony na przestrzeni dzielnic naszych jest poważną zdobyczą kulturalną i tworzy dodatnią pozycyę w naszym bilansie społecznym i narodowym.

Za daleko by prowadziło, gdybyśmy się chcieli rozwodzić o historyi C. Tow. Gospodarczego. Obejmuje ona ważną część historyi ogólnej społeczeństwa w ostatnich pięćdziesięciu latach. Zresztą znalazła ona wyczerpujące i wszechstronne oświetlenie w „Księdze Jubileuszowej“ wydanej przez Towarzystwo. Jestto prawdziwie pomnikowe dzieło tak pod względem bogatej, najeżonej znakomitemi statystykami treści, jak pod względem wytworności drukarskiego wykonania, które uskutecznić miała zaszczyt drukarnia pisma naszego.*)

„Księga Jubileuszowa“ rozpoczyna się przedmową pióra hr. Adama Żółtowskiego. Historyę Towarzystwa przedstawili pp. dr. Roman Komierowski (od r. 1861—1885) i p. Kazimierz Grabowski (od r. 1886—1911). „Materyały do historyi rolnictwa W. Ks. Poznańskiego od r. 1861 do 1911“ nazwał skromnie swą znakomitą pracę historyczną p. szambelan Dr. Jackowski, obecny prezes C. Tow. Gosp. P. Julian Dziembowski ze Sosnówca przedstawił powstanie i rozszerzanie



Adolf Łączyński,
prezes Centr. Tow. Gosp. od 1861—1865.

się naszych instytucyj współdzielczych oraz wpływ, jakie na rozwój ekonomiczny rolnictwa wywarły. Bardzo ciekawa jest praca p. Zygmunta Chłapowskiego z Turwi p. t. „Wpływ rozwoju rolnictwa na podniesienie się wartości

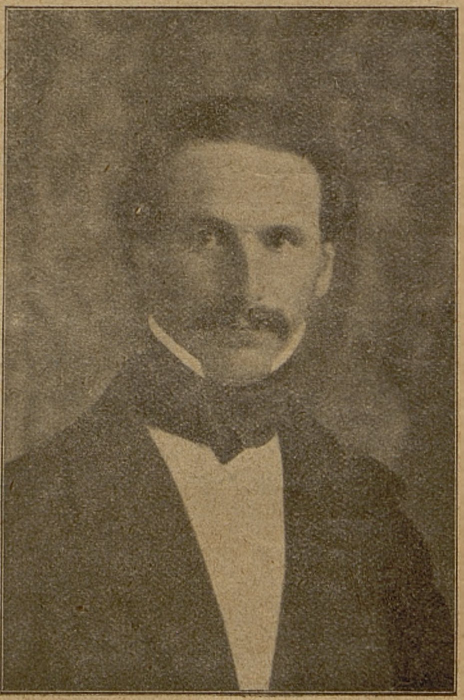


Dr. Roman Komierowski,
marszałek zebrania jubileuszowego Centr. Tow. Gosp.

ziemi.“ W pracy tej zbija autor dość powszechne zresztą pomiędzy niezawodowcami mniemanie, jakoby ceny ziemi nie stały w należytym stosunku do jej wartości istotnej i dowodzi, że ziemia przynosi rentę odpowiadającą najzupełniej swej wartości. Niemniej interesująco przedstawił p. Władysław Sczaniecki z Łaszczyna sprawę ukształtowania się stosunków robotniczych na wsi w ostatniem półwieczu. Rozwój Kółek rolniczych w Wielkopolsce zobrazował p. Kaźmierz Brownsford, uwydatniając prace obu patronów Kółek Jackowskiego Maksymiliana i Chłapowskiego oraz wpływ „Poradnika Gospodarskiego“ na rozszerzenie wiedzy rolniczej wśród włościan. Również „Ziemianin“ doczekał się obszerniejszej monografii z pióra obecnego swego redaktora Dra Wacława Swinarskiego. Historyę wydziału techniczno-fabrycznego mianowicie w stosunku do podniesienia gorzelnictwa krajowego skreślił p. Witold Urbanowski, podczas gdy p. Józef Rivoli uwydatnił prace wydziału leśnego i jego wpływ na rozwój prywatnego leśnictwa w W. Ks. Poznańskiem. Ostatnia praca nosi tytuł „Towarzystwo urzędników Gospodarczych i jego działalność pięćdziesięcioletnia“ i daje po raz pierwszy zebrane dzieje tegoż towarzystwa. Autorem jej jest p. Stanisław Milewski. Księgę zamyka spis alfabetyczny członków Towarzystw filialnych, których jest 15.

Z pobieżnego już zestawienia prac zawartych w „Księdze Jubileuszowej“, poznajemy jak rozległą i wszechstronną była działalność tego Towarzystwa, które w tych dniach złoty jubileusz obchodziło, lecz, aby mówić z p. drem Jackowskim, więcej o pomyślnych wynikach tych trudów i starań mówią objawy ekonomiczne naszego prywatnego i zbiorowego życia, mówi wzrost dobrobytu powszechnego, w czwórnasób pomnożona produkcya rolnicza, wskutek czego Księstwo, nie zdolne dawniej wyżywić wszystkich swych mieszkańców, dziś stało się krajem eksportującym, dzięki umiejętnemu gospodarowaniu swych rolników, czego nauczyło ich Towarzystwo Centralne i Kółka rolnicze.

Towarzystwo, które na tak piękne i obfite może spoglądać wyniki swej umiejętnej i niestrudzonej działalności, organizacya, która mimo wielu doświadczeń i przeciwieństw tak niespożyte plony wniosła do skarbnicy powszechnego dorobku społeczeństwa, ma prawo pogodnem okiem patrzeć w przyszłość. Potężny kapitał doświadczenia i znakomitych i zbożnych tradycyj, połączonych z twórczą i zapobiegliwą pracą obecnych kierowników i członków, zapewnia Towarzystwu dalszy prawidłowy rozwój. Jak w zakończonem obecnie pięćdziesięcioleciu tak i w przyszłości



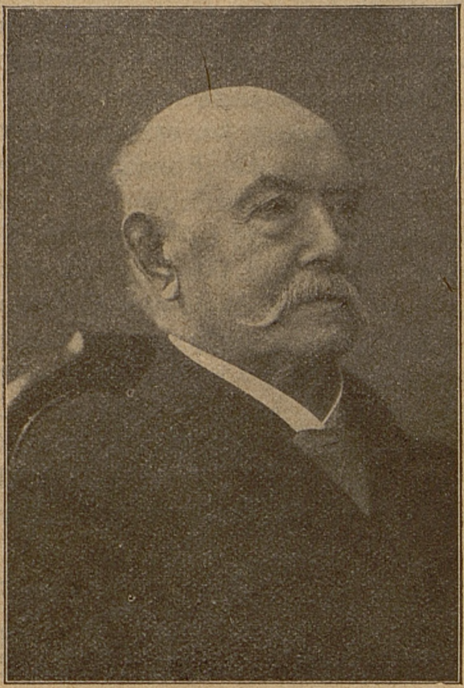
Włodzimierz Wolniewicz,
prezes Centr. Tow. Gosp. od r. 1868—1873.

będzie Towarzystwo potrafiło zastosować środki działania do zmieniających się stale warunków zewnętrznych i będzie potrafiło celowo wpływać na ich prawidłowe urobienie się.

Siły i zapał do tej pracy będzie Towarzystwo czerpało nie tylko z bogatej tradycyi dotychczasowej działalności, lecz z tych haseł naczelnych, które

*) **Księga Jubileuszowa**, wydana w 50-tą rocznicę założenia Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. X. Pozn. Poznań 1911. Nakładem C. Tow. Pozn. w W. X. Pozn. Drukiem „Pracy“ w Poznaniu. Stronnic 316. Skład główny w księgarni Bernarda Chrzanowskiego w Poznaniu. Cena 4,50 mrk.

przyświecają każdej prawdziwie wielkiej działalności ludzkiej: z ukochania ziemi ojczystej i miłości pracującej na niej w pocie czoła ludności, z poczu-



Henryk Szuman †
prezes Centr. Tow. Gosp. od r. 1873—1884.

cia obowiązku i odpowiedzialności, które te uczucia budzą w każdej zacnej piersi ludzkiej.

Niechaj żyje Centralne Towarzystwo Gospodarcze i niechaj rozwija się ku pomyślności społeczeństwa!

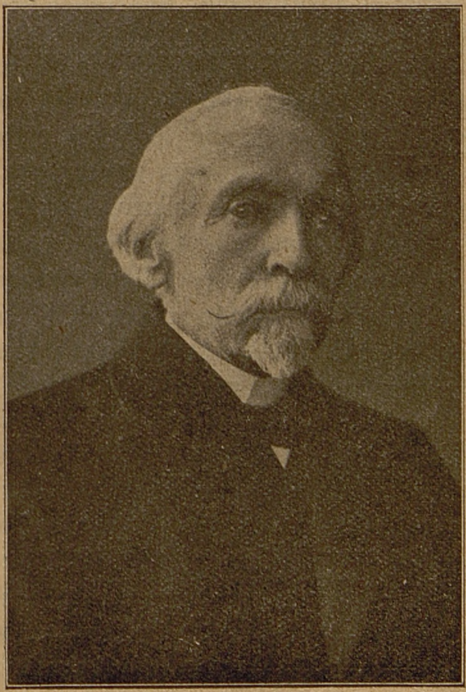
Sprawa wywłaszczenia.

Jak wiadomo opowiedzieli się konserwatyści za wywłaszczaniem Polaków i zamierzają kwestyę tę poruszyć przy obradach nad memoryałem komisyi kolonizacyjnej.

Ponieważ memoryał ten dopiero bardzo późno dojdzie do rąk posłów, przeto przeczekamy się jeszcze za odnośnemi obradami.

Tyle wszakże już dzisiaj pewna, że konserwatyści ze strachu przed hakatystami będą się dopominać zastósowania ustawy wywłaszczycielskiej, tej samej ustawy, którą zwalczali w izbie panów bardzo energicznie najwybitniejsi przedstawiciele konserwatywnego światopoglądu.

Trudno oczywiście przewidzieć skutków tej najnowszej antypolskiej naganki. Chodzą wieści, że w kołach rządowych uwydatniają się bardzo sceptyczne zapatrywania co do użyteczności tej ustawy. Ma ona tam podobno wpływowych przeciwników. Lecz, czy rząd tak samo nie ulegnie wpływom hakatystycznych wodzirejów jak ulegli jej konserwatyści — to pytanie, na które odpowiedź nie jest łatwa. Na ogół twierdzić należy, że zapał wywłaszczycielski obecnie stanowczo jest mniejszy niż wonczas, gdy wywłaszczanie uchwalano. Wtedy upatrywano w tej ustawie jakoby panaceę mającą odrazu uleczyć wszelkie niedomagania polityki antypolskiej. Sądzono, że dość posiadać miecz wywłaszczenia, by odrazu załatwić się z Polakami, a przynajmniej podciąć znienawidzonemu wrogowi żyły żywotne. Z czasem jednak rozpowszechniło się przeświadczenie, że ustawa ta jak miecz obusieczny łatwo może zadać ciężkie rany ręce, która nim wojuje. Trochę też wstydzono się opinii europejskiej, która niedwuznacznie potępiła wywłaszczenie. Trochę liczono się z wpływami Koła polskiego we Wiedniu. Zaczęto tedy ociągać się z rozpoczęciem akcyi ekspropyacyjnej, a były chwile, że nawet dość twardy pesymista mógł uledz wrażeniu, że sprawa ta pogrzebana, a przynajmniej odroczona ad calendas graecas. I rzeczywiście licho musiały stać papiery ekspropryatorów, skoro hakatyści z bezprzykładną od dawna zajadłością rzucili się na rząd i konserwatystów i naród niemiecki do krucyaty przeciwko tym czynnikom wzywali. Jakoż naganka ta nie była bezowocna. Wprawdzie rząd dotychczas nie ugiął się pod groźbą hakatys-



Dr. Z. Szułdrzyński,
prezes Centr. Tow. Gosp. od r. 1884—1891,
obecnie członek honorowy.

tów i do ekspropryacyi nie przystąpił, lecz ulękli się konserwatyści i postanowili na rząd w duchu hakatystycznym natrzeć.

Hakatyści mogą być zadowoleni. Osiągnęli przynajmniej to, że kwestya wywłaszczenia znów stała się aktualną i weszła na wokandę spraw zajmują-



Stan. hr. Żółtowski,
prezes Centr. Tow. Gosp. od r. 1891—1905.

cych opinię rządzących i stronnictw politycznych. Jakkolwiekby było, tyle pewna, że obecnie idea wywłaszczycielska straciła bardzo dużo ze swej mocy werbującej. Oprócz zdeklarowanych hakatystów nie ma ona właściwie rzetelnych zwolenników, którzyby z przekonania jej bronili. Natomiast przybyło jej przeciwników, a przynajmniej krytyków i sceptyków, którzy się po niej wszystkiego spodziewają oprócz rozwiązania kwestyi polskiej.

Ten nastrój znacznego odłamu opinii publicznej nie jest pozbawiony znaczenia, lubo nie należy przywiązywać doń wagi, której nie posiada. W Prusach — jak wiadomo — opinia na sprawy polityczne bardzo nikły tylko wywiera wpływ, co zaś dopiero w sprawach polskich, w których — o ile jest przyjazna — nie zwykła się zbyt energicznie angażować.

Nie należy tedy oddawać się nieuzasadnionym złudzeniom, lecz z drugiej strony nie potrzeba też uprzedzać wypadków.

Naszem zdaniem wywłaszczenie jeżeli przyjdzie, bo to jeszcze mimo wszystko kwestya otwarta, — będzie przykre i bolesne dla jednostek. Społeczeństwo natomiast i z tej próby wyjdzie obronną ręką. Oczekujemy tedy ze spokojem odnośnych obrad w tem przeświadczeniu, że jakikolwiek będzie ich wynik, to jednak nie zdoła on złamać ani stłumić naszych sił żywotnych. Stwierdzamy też z przyjemnością, że w społeczeństwie polskiem pierwotne zde-

nerwowanie i lęk przed wywłaszczeniem ustąpił chłodnej równowadze sądu i umysłu. Przystoi ona ludziom, którzy aczkolwiek nie lekceważą grożącego im niebezpieczeństwa, to jednak dość w sobie czują mocy, by wśród największych przeciwieństw należycie spełnić swój obowiązek.

O powiększenie liczby delegatów.

Na ostatniem wspólnem zebraniu Komitetu Prowincyonalnego Wyborczego i delegatów ożywioną dyskusyę wywołał wniosek Komitetu Wyborczego na miasto Poznań, domagający się większej liczby delegatów dla miasta Poznania, które dotąd posiada tylko jednego delegata, mimo że oddaje przy wyborach więcej głosów, aniżeli dwa powiaty wiejskie poznańskie, reprezentowane przez dwóch delegatów. Wynik tego stanu rzeczy jest obecnie ten, że komitety wiejskie, jeżeli zechcą, zawsze mogą zmajoryzować komitet miastowy.

Wniosek komitetu poznańskiego uzasadniał delegat miasta Poznania p. Karol Rzepecki i rozszerzył go w swej przemowie, prosząc o wybór komisyi, któraby do dnia 15 maja zastanowiła się nad dwoma rzeczami: 1) czy nie należy liczby delegatów uzależnić od liczby głosów oddanych w każdym powiecie przy wyborach parlamentarnych i 2) czy nie należy znieść systemu pośrednich wyborów, który według nowego regulaminu daje taką władzę komitetom powiatowym, i czy w zamian za to nie należy powiększyć liczby delegatów, tak, by każdy obwód wyborczy miał swego delegata, przybywającego z wyrazem woli wyborców bezpośrednio na zjazd delegatów. Mówca domagał się, by — jeżeli upadnie wniosek o wybranie komisyi — przyznano Poznaniowi 3 delegatów, a więc jednego więcej, niż obu powiatom wiejskim poznańskim razem.

Nad sprawą tą rozwinęła się ożywiona dyskusya, która dała ten wynik, że wybrano komisyę celem zbadania stosunku liczby delegatów do liczby oddanych głosów wyborczych, jednakże z tem zastrzeżeniem, by komisya ewentualnych zmian w regulaminie nie przedłożyła delegatom przed przyszłemi wyborami parlamentarnemi.

Pokazało się więc, że w łonie zebrania uwydatnia się sentyment przeciwny projektowi zasadniczego uzależnienia liczby delegatów od liczby wyborców poszczególnych powiatów, jednakże nie odrzucono myśli pomnożenia liczby delegatów w pewnych ściśle ograniczonych wypadkach. Również nie życzono sobie przeprowadzać odnośnych zmian przed zbliżającemi się wyborami parlamentarnemi, pozostawiając tę inowacyę do spokojniejszych czasów. Projekt pomnożenia liczby delegatów na podstawie liczby oddanych głosów odnosi się przedewszystkiem do miasta Poznania. I należy mieć nadzieję, że sprawa ta załatwioną będzie sprawiedliwie. Dotychczasowy bowiem stan rzeczy idealnym bynajmniej nie jest. Sprawiedliwość wymaga, aby miastu Poznaniowi większy niż dotychczas przyznano wpływ na wybor kandydatów poselskich. Z drugiej jednak strony nie można dziecka wylewać razem z kąpielą i przyznawać Poznaniowi aż trzech delegatów, gdyż w takim razie zmajoryzowałoby się powiaty wiejskie.

Sądzimy więc, że przyznanie miastu Poznaniowi dwóch delegatów zaspokoi słuszne żądania wyborców miejskich. W ten sposób załatwiając sprawę, żadna z interesowanych stron poszkodowaną nie będzie. Zresztą w naszych stosunkach nie można powiedzieć, aby istotne interesy ludności mieszczańskiej zasadniczo rozchodziły się z takiemiż ludności wiejskiej. Jeżeli gdzie, to w naszem społeczeństwie panuje w tym względem wielka solidarność. Różnica zachodzi głównie pod względem zabarwienia temperamentu politycznego poszczególnych odłamów ludności, o ile ludność miejska skłania się na ogół więcej do tak zwanej polityki ostrego tonu, podczas gdy wieś przeważnie do umiarkowanego się zalicza obozu.

Naszem zdaniem byłoby pożądane, aby wiejskie powiaty poznańskie przy wyborze kandydatów poselskich zawsze bardzo pilnie liczyły się z sentymentem miasta. Sądzimy jednak, że nie mogą one z góry w tej mierze być ubezwładnione, coby się stało z chwilą, gdyby miastu trzech delegatów przyznano. Wtedy ich głos stałby się iluzorycznym i faktycznego znaczenia by nie miał. Nie usunęłoby to też obecnego rozgoryczenia: miasto byłoby zadowolone ,lecz wiejskie powiaty słusznie głośneby podniosły skargi. Obecny antagonizm trwałby nadal, a przecież nie na utrwaleniu, lecz usunięciu niedomagań zależy.

* * *

Z innych spraw załatwionych na zebraniu zanotować należy przyjęcie kilku zmian w regulaminie wyborczym, z których specyalnie wyszczególniamy dodatek uchwalony do paragrafu 25, przepisujący, że odtąd w razie równości głosów przy pierwszem głosowaniu następuje ponowne głosowanie i dopiero, gdyby się znów miała okazać równość głosów, rozstrzyga los wyciągnięty ręką przewodniczącego.

W miejsce śp. ks. prałata Wawrzyniaka wybrano do Komitetu Prowincyonalnego p. szambelana dra Tadeusza Jackowskiego z Wronczyna, skutkiem czego tenże składa urząd delegata powiatu wschodnio-poznańskiego.

Do komisyi mającej zbadać stosunek liczby delegatów do liczby wyborców wybrano pp. dra Zygmunta Celichowskiego, hr. Mycielskiego, mec. Karpińskiego i Plucińskiego. Piątego członka wybiera Komitet Prowincyonalny ze swego łona.

Od Centralnego Komitetu wyborczego

otrzymaliśmy następujący komunikat:

Po przedwczesnej śmierci naszego dotychczasowego prezesa, śp. ks. prałata Wawrzyniaka, został na plenarnem posiedzeniu Centralnego Komitetu Wyborczego na dniu 6 marca r. b. prezesem obrany ks. dziekan dr. Antoni Wolszlegier z Pieniążkowa. W następstwie tegoż złożył dotychczasowy wiceprezes pan Stanisław Sikorski z Wielkich Chełmów swój urząd, a w jego miejsce wybrano wiceprezesem pana szambelana Stefana Cegielskiego z Poznania.

Poznań, dnia 7 marca 1911 r.

Ks. dr. A. Wolszlegier, prezes.
Stefan Cegielski, wiceprezes.
Dr. Różański, sekretarz. *M. Więckowski*, skarbnik.
Julian Brzeski. Maksymilian Hanke. Władysław Grabski (w zastępstwie dr. Krysiewicza). *Dr. Łaszewski. Karol Rose. St. Sikorski. Jan Wilkowski.*

Wszelkie pisma należy odtąd adresować albo do kierownika biura naszego p. K. Kościńskiego w Poznaniu (Posen O. 1, Abholer), albo wprost do mnie, niżej podpisanego.

Pieniążkowo (Pienionskowo per Schmentau W. Pr.), dnia 7 marca 1911.

Ks. dr. Antoni Wolszlegier.

Tak narody całe jak i poszczególni ludzie, przez rozmiłowanie się zbytnie w samych sobie, dochodzą do tego stopnia głupoty, że nawet na wady swoje patrzą przez szkła różowe, jakby na coś takiego, co szczególniejszy stanowi ich przymiot, którym górują nad innymi. Henryk Sienkiewicz.

Do wyborców Polaków okręgu jarocińsko - koźmińsko - krotoszyńsko-pleszewskiego.

Wskutek śmierci ś. p. księdza prałata Jażdżewskiego, czcigodnego prezesa Koła polskiego, zawakowało krzesło poselskie do pruskiej izby deputowanych z okręgu jarocińsko-koźmińsko-krotoszyńsko-pleszewskiego. Wybory uzupełniające walmanów odbędą się dnia 27 marca r. b., a wybory posła dnia 7 kwietnia rb.



Ks. dziekan Dr. Antoni Wolszlegier,
prezes Centralnego Komitetu wyborczego.
(Patrz komunikat centraln Komitetu wyborczego.)

Wybory walmanów dnia 27 marca r. b. o tyle tylko nastąpić mogą, o ile dawniejsi walmani umarli, wyprowadzili się lub w inny sposób ustąpili.

W wyborach posła dnia 7 kwietnia udział brać będą wyborcy, którzy przy wyborach głównych byli czynni, a nadto jeszcze ci, którzy dnia 27 marca wybrani zostaną.

Ze względu na to wzywamy pp. prezesów Komitetów wyborczych powiatowych odnośnego okręgu, aby celem postawienia kandydatur poczynili potrzebne do zwoływania walnych zebrań obwodowych kroki.

Pouczeni doświadczeniem przypominamy, że podług regulaminu naszego walnym zebraniom obwodowym przewodniczą prezesi komitetowi względnie zamianowani przez nich zastępcy. Nie dozwolonem przeto jest, aby walne zebrania obwodowe same sobie przewodniczących obierały.

Z każdego walnego zebrania obwodowego należy spisać protokół, który podpisuje przewodniczący wraz z sekretarzem i pięcioma przynajmniej członkami zebrania (§ 13. regulaminu)

Dalej zwracamy uwagę, że wybór ostateczny trzech kandydatów poselskich w łonie komitetów powiatowych odbywać się winien tajnie kartkami.

Poznań, dnia 4. marca 1911.

PROWINCYONALNY KOMITET WYBORCZY NA W. KS. POZNAŃSKIE.

Stefan Cegielski, prezes. *Julian Brzeski*, wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. *Michał Więckowski*, skarbnik.
Władysław Grabski. Dr. Jackowski. Dr. Kubacki. Ks. Mojzykiewicz. Jan Żółtowski.

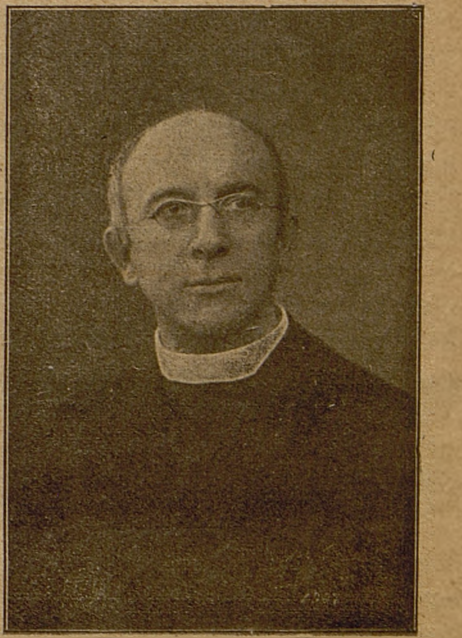
XII Zjazd Delegatów
Związku Katolickich Towarzystw Robotników Polskich

w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, poprzedzony nabożeństwem na tę intencyę w kościele na św. Łazarzu, zagaił w ubiegły poniedziałek o godz. pół do 11 na sali Wzgórza św. Łazarza Patron ks. prałat Stychel Ks. patron wyraża na wstępie radość z coraz większego dorobku duchowego, który prowadzi do dorobku materyalnego i oświatowego. Rezultaty pracy w Związku coraz dodatniejsze. Nawołując do zwięzłych obrad, daje ks. Patron odpowiednie do dyskusyi wskazówki. Niestety zanotować wypada Związkowi niejedne straty, z których najboleśniejszą jest oprócz wielu członków, śmierć śp. ks. prał. Wawrzyniaka. Pamięć Zmarłych uczczono przez powstanie z miejsc.

Najprzew. ks. biskup Likowski przesłał swe pasterskie błogosławieństwo.

Etat na r. 1911, przedłożony przez generalnego sekretarza Związku ks Lisieckiego, a obejmujący sumę 18 575 mk., przyjęto. Ze sprawozdania z działalności Związku w r. 1910 wyjmujemy następujące dane: Związek liczy obecnie 30 816 członków i 237 towarzystw. Chociaż liczba towarzystw powiększyła się o 9 nowo założonych, liczba członków cofnęła się o 634. Tłumaczy się to raz ubytkiem przez śmierć a powtóre wykluczeniem z towarzystw dla niewypełniania obowiązków. Jest bardzo wielu jeszcze robotników, którzy do towarzystw wogóle nie należą. I tak w 143 parafiach, gdzie istnieją już towarzystwa robotnicze, stwierdzono, że tamże blisko 30 tys. robotników trzyma się zdala od towarzystw. Ks. Lisiecki przytacza rozmaite środki, za pomocą których zjednywać można nowych członków i przedkłada odpowiednią rezolucyę, która zostaje przyjęta. (patrz poniżej rezolucya 1.)

Celem wewnętrznego rozwoju towarzystw zaleca ks. kanonik Lisiecki zakładanie w obrębie Towarzystw Kółek oświatowych. Dalej zaleca mówca większą uwagę zwracać na młodzież robotniczą, która we wysokim stopniu stroni jeszcze od Towarzystw. Na przeszło 30 tysięcy członków należy bowiem do Towarzystwa tylko 400 z kół młodzieży robotniczej. (patrz poniżej rezolucya 2.)



Ks. poseł prałat Stychel,
patron Związku Towarzystw robotniczych.

W 156 towarzystwach 798 członków miewało wykłady. W licznych towarzystwach istnieją Kółka śpiewu. „Śpiewnika“ wydanego przez Związek, rozeszło się 2571 egzemp. Biblioteki istnieją w 132 towarzystwach i posiadają 21791 książek. Kasy pośmiertne mają 141 towarzystw, do związkowej Kasy pogrzebowej należy 11 towarzystw. Pośmiertnego wypłacono razem 14 200 marek.

Ks. prałat Stychel ze względu, że obowiązki poselskie powołują go do Berlina, uważał za stosowne złożyć przewodnictwo jeszcze przed zamknięciem zebrania.

Stwierdził przytem, iż istnieje wspólność pracy duchowieństwa z delegatami świeckimi. Duchowieństwo też świadome swego celu, nie zabiera głosu w dyskusyi, pozwalając się wymówić delegatom świeckim, ażeby przez dyskusyę ćwiczyli się, by w przyszłości z tem większą rzeczowością mogli występować na zjazdach.

Na wniosek ks. prałata Stychla oddano jednogłośnie dalsze przewodnic-

two zjazdu w ręce ks. patrona Adamskiego.

Delegat p. Niemojewski ze Śliwnik wniósł okrzyk na cześć ks. prałata Stychla. Okrzyk ten powtórzył zjazd z wielkim entuzyazmem.

Biur bezpłatnej porady prawnej jest w archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej już 14.

„Robotnik“, organ Towarzystw, rozchodzi się w liczbie 29 tys. egzemplarzy.

Dochód kasy Związku wynosi 29 324 mk., rozchód 19 251 mk. Majątek Związku wynosi 13150 mk.

Rezolucye przyjęte brzmią jak następuje:

I. Rezolucya.

XII. Zjazd delegatów Związku Kat. Towarzystw Robotników Polskich wzywa towarzystwa związkowe do wytężonej pracy agitacyjnej celem pozyskania dla organizacyi tysięcy braci robotników, nie należących do towarzystw, tam nawet, gdzie towarzystwa istnieją. W tym celu poleca się urządzanie wieców agitacyjnych, używanie odezw, których Związek towarzystwom dostarczy, przedewszystkiem przecież organizacyę mężów zaufania. Pierwszem i najważniejszem ich zadaniem jest właśnie agitacya za towarzystwem.

II. Rezolucya.

XII. Zjazd delegatów itd. poleca usilnie związkowym towarzystwom zakładanie i prowadzenie wszędzie, gdzie tylko można, osobnych, ale ściśle z towarzystwem złączonych wydziałów dla młodzieży i kółek oświatowych dla członków swoich.

III. Rezolucya.

XII. Zjazd delegatów Związku katolickich Tow. robotników polskich przyjął z uznaniem do wiadomości wyniki dotychczasowych obrad Zarządu Głównego z Wydziałem dla spraw robotniczych Centralnego Towarzystwa robotniczego.

Zjazd najzupełniej podziela zapatrywanie, iż wypłaty, wydawania i rozważenia ordynacyi nie powinny się dokonywać w niedziele i święta.

Zjazd uprasza, aby wypłaty nie dokonywano w soboty, lecz w dni powszednie, poprzedzające dni targowe.

Bardzo pięknie wypracowany referat „O obowiązkach stanu robotniczego wobec Kościoła św.“ odczytał p. Mizgalski ,członek związkowego Tow. w Ostrowie, a na końcu proponuje wysłanie do Ojca św. następującego telegramu:

„My robotnicy katolicy archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej wyrażamy wiernopoddańczy hołd nasz wobec obelg rzuconych na Głowę Kościoła przez burmistrza miasta Rzymu i przyrzekamy ,że zawsze wierni stać będziemy przy Stolicy Apostolskiej.“

Zebrani w zupełności zgodzili się na powyższy telegram.

Pod wnioskami bez uchwał ks. Mrugas poleca „Świt“ i „Przyjaciela Trzeźwości“ w myśl postanowienia, powziętego na jednym z poprzednich zjazdów, i przedstawia „cudowną butelkę“ „Izola“, w której przez 12 godzin przechowywać można gorące napoje, jak herbatę, mleko, kawę itp. Butelki te są obecnie dosyć tanie, można je nabywać już po 3 marki.

Następnie przemawia prezes Związku Kat. Tow. Robotniczych w Niemczech p. Chwaliszewski z Berlina, prosząc ażeby starano się jak najrychlej wejść w jakiś kontakt z tym związkiem, ażeby tym sposobem ratować brać robotniczą, ginącą dla wiary w głębi Niemiec. Popiera jego wywody ks. Bratkowski, domagając się od Głównego Zarządu, by na przyszłym zjeździe przedstawił już jakoweś konkretne wyniki rokowań ze Związkiem Tow. w Niemczech.

Zabiera jeszcze głos cały szereg mówców, poczem ks. przewodniczący streszcza po krótce przebieg obrad. Zwraca uwagę, że, choć padają tu na zjazdach nieraz szorstkie słowa, słowa te pochodzą z dobrej woli. Sprawa robotnicza polega nie tylko na polepszeniu zarobku, ale i na polepszeniu oświaty, podniesieniu poziomu umysłowego. Gdy zrobimy z robotnika człowieka nawskroś prawego, to i położenie jego się polepszy, bo sam będzie sobie umiał radzić, w zgodzie i jedności z innymi będzie się brał do pracy nad wspólnem dobrem wszystkich.

Okrzykiem na cześć przewodniczącego i Duchowieństwa zakończył się zjazd o godzinie 5 po południu.

W zjeździe brało udział 96 patronów i wicepatronów (księży) i 314 delegatów świeckich.

Kto chce przodować reszcie ludzkości, ten musi wyprzedzać ludzkość; musi jej sprostać, kto chce jej nadążyć; zostaną po za nią ci, co przykuwszy siebie do miejsca, chcą do niego przykuć świat cały, świat, który Stwórca w ruch puścił, i w którym nic dotąd nie stoi.

Józef Supiński.

Nowe ministerstwo we Francyi.

Francya ma nowe ministerstwo, nie różniące się zasadniczo od kliki fanatyków, która od lat dwudziestu wiedzie państwo do rozstroju. Ustępujący Briand nie był z nich najgorszym. Zwłaszcza w ostatnim czasie zaznaczało się w jego karyerze politycznej pewne powolne przejście od ciasnego sekciarstwa do poglądów uczciwszych.

Rządy po nim obejmuje Antoni Emanuel Ernest Monis; należy on do znanych we Francyi osobistości politycznych, chociaż nie dorósł sławy takich ludzi, jak Clemenceau, Briand, a nawet Combes. Prezydent republiki Fallières, mając wybrać osobistość, którejby powierzył utworzenie nowego gabinetu, posiadał zbyt wyraźną wskazówkę, ażeby się wahać co do wyboru.

Łącznie z tą wskazówką ze strony izby deputowanych uwzględnił jednakże Fallières swoje własne opinie o tyle, iż nie chciał widzieć na czele gabinetu polityka zbyt radykalnego. I dlatego Fallières pominął Combesa, a powierzył utworzenie gabinetu Monisowi, który jest więcej umiarkowanym.

Jak piszą dzienniki paryskie, Monis, licząc 64 lata życia, jest właścicielem wielkich winnic w okolicy Cognacu, i posiada własną fabrykę koniaku. Był adwokatem w Bordeaux, ale więcej zajmował się polityką, niż adwokaturą. Należał od r. 1885 do 1889 do izby deputowanych, ale następnie utracił mandat jako polityk zbyt umiarkowany. Od r. 1891 jest wybierany do senatu, gdzie piastuje godność wiceprezydenta. W gabinecie Waldecka-Rousseau był Monis ministrem sprawiedliwości i brał udział w opracowaniu ustaw kościelnych. Wtedy to z obozu progresistów przeszedł do obozu radykalnego. Jest to dobry mówca i polityk, oryentujący się szybko w sytuacyi, a w razie potrzeby umiejący się zdobyć na energię.

Posiada Monis jeszcze tę ważną, zwłaszcza we Francyi zaletę, że umie osobiście jednać sobie ludzi. Jako senator, stoi Monis do pewnego stopnia poza partyami izby deputowanych i może tem łatwiej objąć rolę pośrednika i rozjemcy.

Nowe ministerstwo Monisa ukonstytuowało się już w komplecie i to w sposób następujący: Prezydenturę i tekę ministra spraw wewnętrznych objął Monis, ministrem sprawiedliwości zo-



Monis,
prezes ministrów w nowym gabinecie francusk

stał Antoine Perrier, ministrem spraw zagranicznych Cruppi, wojny Berteaux, marynarki Delcassé, ministrem finansów Cailleaux, oświaty Steeg, ministrem robót publicznych Dumont, handlu Masse, rolnictwa Pams, urzędu kolonialnego Messimy, ministrem robót i opieki socyalnej Boncour.

Nowe to ministerstwo zaraz na wstępie doznało bardzo nieprzychylnego przyjęcia ze strony wielu gazet, wskutek czego nie rokują mu długiego istnienia.

Głosy od przyjaciół.

Londyn, dnia 1. marca 1911.

Dla rozrywki współziomków, dzieci ze Szkółki Polskiej odegrały w ostatki — na sali „Czytelni Polskiej“ 17 Old Ford Road, N. E. „Betleem Polskie“ Lucyana Rydla — II. i III. część. Wcześnie już zaczęli się rodacy schodzić z różnych stron metropolii i na poczekaniu to przeglądali gazety, to gawędzili, to śledzili dzieci, które przystrojone i nadmiar ożywione, biegały po obszernym lokalu a wszędzie było pełno hałasu i krzyku.

Sala nadzwyczaj przepełniona. Kurtyna się podnosi, widzimy Heroda na tronie wśród swych dygnitarzy, dworzan i żołnierzy. Herod (B. Iwaszkiewicz) wywiązał się dobrze z zadania swego w długiej i trudnej roli. — Janusz pięknie odśpiewał solo w „Dzis'aj w Betleem“, przodując chórom pasterzy. Mania Sokołowska w stroju krakowskim zaśpiewała dziarsko Krakowiaka. Żyd, Twardowski, Dziadek, Dyabeł ubawili widzów. Królowie polscy wystąpili w pysznych strojach, a osoba, przedstawiająca Matkę Boską swą deklamacyą, pełną uczucia, do głębi wzruszyła widzów. Z powodu braku miejsca niektóre osoby zostały wypuszczone ze sztuki. Bez przesady można powiedzieć, że na nasze tu stosunki „Betleem polskie“ odegrano nie najgorzej i uznanie nie małe należy się Zarządowi Czytelni i Szkółki za jego pracę i zabiegi, to też widzowie z wielkiem zainteresowaniem przypatrywali i przysłuchiwali się sztuce nie szczędząc oklasków młodocianym artystom.

Staraniem Zarządu jest zapewnić to ognisko polskie na własność dla kolonii polskiej — jedynie brak funduszów jest nam na przeszkodzie. Czytelnia i Szkółka w najętym domu jest utrzymywana i opłacana przez zamożniejszego dobrodzieja (Zosia Zabelska).

Datki, książki i gazety z podziękowaniem przyjmujemy.

M. W.

Wolne głosy.

Z powodu artykułu p. t. „Dla czego się wynaradawiamy“ (patrz zeszły numer „Pracy“ na stronie 294-ej) otrzymaliśmy następujący list, który w interesie sprawy ogłaszamy:

Berlin, dnia 6. 3. 1911.

Brawo! Panie S. L., żeś Pan poruszył tak ważną sprawę.

Nieraz dziwiłam się już, że nasi panowie wpadają w tak ordynarne sidła zastawione przez panny Müller albo Schulz. W rzadkich wypadkach robią panowie dobrą partyę tj. żenią się z pieniędzy. Czy nasze Polki są gorsze od Niemek? Czy pomiędzy Polkami nie znajdzie się dosyć panienek bogatych, ładnych, gospodarnych i inteligentnych? Trzeba tylko okazać trochę dobrych chęci, a znajdzie się z pewnością dla każdego z panów odpowiednia żona Polka. Że nasze panienki są trochę kapryśne, przyznać trzeba, i że nigdy tak namolne nie będą jak Niemki, to także prawda, ale to panów wcale nie usprawiedliwia, żeby dla tego się z Niemkami żenili.

Teraz zapytuję, czy nie byłoby dobrze, gdyby się rodzice albo opiekunowie, tak panienek jak panów tą sprawą zajęli?

Dziś kiedy małżeństwo coraz więcej staje się instytucyą wzajemnego ubezpieczenia na życie, nie powinno zrażać ludzi rozsądnych ogłoszenie w gazecie, że ten i ów potrzebuje żony z takim a takim posagiem, albo też jeżeli rodzice mając kilka córek na wydaniu w ten sposób poszukują mężów dla nich. O ile mi się zdaje jestto daleko szczersze jak prowadzanie córek po balach przez kilka lat, wykosztowywanie się na nich, ażeby w końcu się o tem przekonać, że wszystko było napróżno.

Nie wszyscy panowie żenią się li tylko z pieniędzy. Są panowie, którzy wolą żonę gospodarną, pracowitą albo ładną. Są także tacy, którzy potrzebują matki dla swoich osieroconych dzieci, a więc w każdym przypadku rodzice albo opiekunowie rozumnem postępowaniem mogą tę rzecz pomyślnie załatwić.

H. M.

Wspomnienie pośmiertne.

W ostatni wtorek zapustny, przybywam do Poznania. Po długotrwałych wichrach i deszczech, słońce jakby przez pomyłkę złoci świat i budzi całą przyrodę. Zdaje się, że to przedwstęp wiosny... wszystko się cieszy, raduje i żyje pełnią życia!

A i mnie wesoło na duszy. Jadę obchodzić świętą Helenę. Za chwilę — przyszła solenizantka powita mnie z okrzykiem radości, za chwilę, otworzą się jej ramiona i będę mogła przytulić się do serca, które kochać umie, jak mało kto na ziemi.

O jak straszne i niezbadane są wyroki Boże!

Na dworcu dowiaduję się, że ta, dla której przybywam, pani Helena z Kościelskich Potworowska, wczoraj jeszcze w pełni sił i zdrowia — dziś już nie żyje!...

„Pani Helena“ umarła!... Gdy wieść ta lotem błyskawicy obiegła Poznań, dotarła do Bazaru, zdawało się, że na balujące kółko ktoś zarzucił całun śmierci. I niejeden stanął z zapartym oddechem wobec grozy i tragizmu życia!...

Jeszcze przed godziną, kilku członków najbliższej rodziny i znajomych otaczało tę istotę, z miłych — najmilszą, z dobrych — najlepszą, z gościnnych — najgościnniejszą!

Aż oto nagle, pod wieczór, gdy obci się rozeszli — stanął przy niej anioł snu wiecznego i zabrał do innej krainy!

Śp. Helena Potworowska była to wielka pani, w każdym calu, w szlachetnem znaczeniu tego słowa — bez cienia snobizmu — dla wszystkich równie uprzejma i uczynna, jak one dostojne matrony polskie, naszej świetnej przeszłości. Umysł o wyższej kulturze, wykwintny i niepospolity, kochający się w pięknie, pełen zapału do wszystkiego co wzniosłe, co godne podziwu.

Kto znał śp. Helenę Potworowską, kochać ją był zniewolony. W prawem, na wskroś szlachetnem jej sercu, był tak bogaty zasób życzliwości dla bliźnich, tyle niewyczerpanych skarbów dobroci, miłosierdzia i wyrozumiałości,



† **Helena Potworowska.**
(Klisza sporz. według fotografii z młodych lat.)

iż śmiało rzec można, że dobrze czynić, zniewalać ludzi, koić zbolałych, było gwiazdą przewodnią jej życia. — Ona po prostu nie mogła patrzeć na czyją niedolę. Kiedy była przy chorym, zdawało się, że cierpi porówno z nim, albo jeszcze więcej od niego. — Każdy kto cierpiał, już miał prawo do jej sympatyi — tak jak każdy kto w dom jej wchodził był witany jak przyjaciel.

Nie piszę nekrologu. Trudno w ciasnych jego ramach umieścić wszystkie szczegóły przebogatego żywota śp. Heleny Potworowskiej — nie wspomniałam dotąd o jej gorącej miłości ojczyzny i tej ziemi polskiej, dla której utrzymania, gotową była do wielkich ofiar — nie wspomniałam o jej patryarchalnym stosunku do ludu w Bożejewicach — lecz maluczcy najlepiej wiedzą, jak hojną panią i opiekunkę stracili w zmarłej. Ach! nie łatwo to pisać, gdy oczy zalewają się łzami!...

Więc pragnę tylko rzucić kilka kwiatków wspomnienia na drogą mogiłę — podzielić się żalem z liczną rzeszą wielbicieli i przyjaciół nieboszczki, dla których to imię — „pani Helena“ było synonimem wdzięku, dobroci i altruizmu.

O wielki Boże! Miłosierdzie Twoje,
W które ufała bezgranicznie Zmarła—
Niech jej otworzy niebieskie podwoje!—
Niech mówią za Nią łzy, które otarła...
Szlachetne czyny wprowadzą do Ziemi,
Gdzie Ty królujesz z Aniołami Swemi!
„Dobry Jezu, a nasz Panie
Daj Jej wieczne spoczywanie!“

Iry.

Ze sceny i estrady.

Debiut p. Maryi Rogalińskiej w „Halce“ liczną publiczność zwabił w mury naszego przybytku sztuki. Publiczność z wielką sympatyą przyjmowała młodą śpiewaczkę. Po każdym akcie niemilknące zrywały się oklaski, także mnóstwo kwiatów pojawiło się na scenie. Sukces zewnętrzny był zatem zupełny.

Artystka posiada szczęśliwe zewnętrzne warunki i rozporządza bardzo ładnym materyałem głosowym o sympatycznem brzmieniu. Także pod względem techniki śpiewaczej zrobiła p. R. znaczne postępy. Szkoda tylko, że dość silne tremolando nie pozwala artystce rozwinąć należycie tonu i napełnia śpiew niepokojem. Nad usunięciem tego niedomagania będzie sympatyczna artystka jeszcze musiała pilnie i umiejętnie popracować, a także dykcyi baczną należy poświęcić uwagę, szczególniej guturalna wymowa spółgłoski „r“ domaga się naprawy. Usterek, wynikających z scenicznego niedoświadczenia młodej arytstki oraz z niedostatecznego przygotowania partyi w konsonansie z akompaniamentem orkiestralnym, nie będziemy wyliczali. Debiutantki bowiem mają prawo liczyć na pobłażliwość krytyki. Na ogół można występ piątkowy p. Rogalińskiej z pochlebną zarejestrować notą.

Przy tej sposobności miło mi powinszować p. Haykowi piątkowego Jontka. Czynię to tem chętniej, o ile w ostatnim czasie z powodu „Fausta“ niejedną cierpką na tem miejscu wypowiedziałem uwagę. Artysta był znakomicie dysponowany głosowo i śpiewał z porywającą siłą dramatycznej ekspresyi.

* * *

Benefis p. Eleonory Królikowskiej jak zwykle tak i tego roku wielkiem się cieszył powodzeniem.

Szanowna artystka wybrała na swój wieczór honorowy Kazimierza Zalewskiego „Artykuł 264“, w której to komedyi sama objęła rolę Kokszowej, wywiązując się z zadania pod każdym względem koncertowo. To też licznie zebrana publiczność zasypywała czcigodną artystkę długotrwałemi, burzliwemi oklaskami oraz zgotowała jej wspaniałą owacyę kwiatową. Reszta ról rozdana była bardzo szczęśliwie. Joanną była p. Bednarzewska. Znakomita artystka odniosła wytworną i niezrównaną grą swoją jak zazwyczaj tryumf zupełny; pozatem nader pięknemi tualetami budziła podziw. Dość niewdzięczną rolę Kamili objęła p. Pawlicka, której mimo wszelkie uznanie, jakie mamy dla jej talentu, nie możemy oszczędzić zarzutu, że w swych kreacyach jest nieco zbyt jednostajną. Nader sympatyczną i w miarę naiwną była p. Zielińska. Bardzo szczęśliwy był p. Czerniak jako rejent. Postać tę zaliczamy do najlepszych kreacyj sumiennego i zdolnego artysty. Na miejscu jako Rolski był p. Boroński. Natomiast nieco blady wydawał się nam p. Kęcki w roli Skalskiego. Zupełnie w swiom żywiole byli pp. Kosiński i Czaki i zagrali swe epizodyczne role z wielkiem powodzeniem.



Eleonora Królikowska.

* * *

Koncert p. hr. Maryi Teresy Kwileckiej z współudziałem p. Bronisławy Pomorskiej

urządziła p. radczyni Cichowiczowa, zasłużona i nader czynna prezeska poznańskiego Towarzystwa Ludoznawczego, pragnąc w ten sposób pomnożyć

funduszе niezbyt bogatej, a tak potrzebnej i użytecznej instytucyi. Panie hr. Bnińska z Czarnotek oraz p. hr. Mielżyńska z Iwna poparły cenną swą pomocą zabiegi p. radczyni Cichowiczowej i otóż przyszedł do skutku koncert, który był dla licznej, doborowej publiczności, która wielką salę Lamberta po brzegi zapełniła, prawdziwą ucztą.

P. hr. Kwilecka posiada nader piękny, znakomicie we wszystkich pozycyach urobiony głos o rozległej skali i szlachetnem, głębokiem brzmieniu, instrument wytworny, którym włada z maetsryą i pełną wykwintu finezyą. Jestto głos z natury swej wysoce dramatyczny, o wielkim, bujnym, metalicznym tonie, jednakże tak lotny przytem, że z łatwością nagina się do wymogów bardzo nawet subtelnej liryki.

Lecz można posiadać to wszystko, a mimo to bardzo tylko wątpliwe osiągać sukcesy. P. hr. Kwilecka posiada ponadto to, bez czego nie ma prawdziwego artyzmu tj. duszę, fantazyę twórczą, wysoce ukultywowany smak artystyczny. Oto, dlaczego od razu zdobyła pubiczność, dlaczego śpiew jej prawdziwą burzę żywiołowego wywołał aplauzu.

Akompaniament spoczywał w wytrawnych rękach p. prof. L. Broeckerego.

Część fortepianową objęła p. Bronisława Pomorka, uczennica Koczalskiego. Młoda artystka posiada niepospolitą biegłość i zdumiewającą siłę fizyczną, czego dała dowody wykonując z wielką brawurą szopenowskiego poloneza As-dur, stawiającego pod tym względem tak znaczne do wykonawców wymogi. Nokturn, a także walce Szopena grała bardzo poetycznie. Także inne produkcye wypadły nader pięknie.

Panna Pomorska nie uważa się jeszcze za skończoną artystkę. W każdym razie posiada p. Pomorska już dziś technikę bardzo wysubtelnioną, a także pod względem zrozumienia i odczucia danej kompozycyi tylko najpochlebniejszy sąd wydać należy. Piękna przyszłość otwiera się przed tak pięknym i prawidłowo kierowanym talentem.

Sprawozdanie to nie byłoby zupełne, gdybyśmy nie wspomnieli o pięknych ‚prawdziwie artystycznych programach wykonanych umiejętnie rączkami pp. Wicherkiewiczowej, Luni Komierowskiej i Brylińskiej, córki powszechnie szanowanego dyrektora Banku Przemysłowców.

Po koncercie, który znaczny czysty zysk odrzucił,, odbył się wspaniały raut w Bazarze.

R.



Hr. Marya Teresa Kwilecka.

Choral Watykański.

Kościół katolicki jeden tylko śpiew za swój własny uznaje. Jest nim choral gregoryański. Choral ten jest składową częścią liturgii, to też kościół pielęgnował go, czuwał nad czystością jego, chronił od upadku, podnosił go, gdy z biegiem wieków upadał i psuć się zaczynał. Mimo to mało już dzisiaj mamy oryginalnych melodyj choralnych z pierwszych wieków chrześciaństwa, jakie z świątyni jerozolimskiej przez kościół przejęte, a za pomocą rozpowszechnionej wówczas na zachodzie sztuki greckiej udoskonalone zostały. Melodye te bowiem zmieniały się powoli. Pamiętajmy przecież, że nuty dzisiejsze utrwalające melodye za pomocą pisma istnieją dopiero około lat 900. — że przez tysiąc lat uczono się choralnych melodyj ze słuchania, że przekazywano je następnym pokoleniom przez tradycye, że drobne haczyki i punkta t. zw. neumy, jakie nad tekstem liturgicznym umieszczano, były tylko znakami „mnemotechnicznemi,“ przypominającemi śpiewakowi w ogólnych zarysach melodyę, której się przedtem ze słuchu nauczył, że nie podawały one odległości tonów czyli interwali. Już wynalazca nut, Gwidon z Arezzo († 1050) narzekał, że jeden śpiewak z drugim się nie zgadza, ani uczeń z swoim nauczycielem, ani uczniowie między sobą. Doszło do tego, że tyle mamy różnych Antyfonarzy, ilu nauczycieli śpiewu.“

W średnich wiekach przepisywano melodye gregoryańskie przeważnie po klasztorach. Posługiwano się wynalazkiem wspomnianego Gwidona, który zaczął używać linii do nadania stałego miejsca i nazwy tonom melodyi. Odtąd śpiew gregoryański szybko rozkrzewiać się zaczął. Nie uczyło go już teraz kilku wtajemniczonych w tradycyę mistrzów, ale stał on się własnością wszystkich znających nuty śpiewaków kościelnych.

Wskutek rozwijającego się śpiewu polifonicznego w XV. i XVI. wieku śpiew gregoryański upadać zaczął. Choralu używano tylko przy śpiewaniu psalmów, antyfon i hymnów, tudzież podczas mesz konwentualnych w klasztorach i w kolegiatach. Dopiero w końcu XVI. wieku, gdy wskutek reform soboru trydenckiego nowe życie wstąpiło w członków kościoła katolickiego, podniósł się śpiew choralny.

W Rzymie wydał Gwidetti r. 1582. Directorium chori; r. 1594. zatwierdziła Kongregacya św. Obrządków pierwszy tom nowego Gradualu rzymskiego, opracowany przez Palestrynę, a wydany w latach 1614. i 1615. razem z resztą tomów w drukarni medycejskiej przez Feliksa Anerio i Franciszka Suriana, uczniów Palestryny.

W wydaniu tem dotychczasowe rozwlekłe melodye choralne znacznie skrócone i ułatwione zostały. Choral stał się wprawdzie łatwiejszym, praktyczniejszym, ale za to mniej sztucznym, mniej artystycznym, mniej pięknym.

W Polsce wydanie Palestryny i uczniów jego nigdy się nie przyjęło. Używano pierwotnych rękopisów choralnych, które do nas przez pierwszych naszych biskupów Niemców z zachodu się dostały, a później wydane zostały z polecenia synodów naszych w drukarni Piotrkowczyka w Krakowie około r. 1600. Konserwatyzm nasz, a zarazem troskliwość naszych XX. Biskupów o czystość śpiewu gregoryańskiego w szkołach katedralnych sprawiły, żeśmy zpośród katolickich narodów sami prawie tylko przez wieki całe prawdziwy śpiew św. Grzegorza przechowali.

W zeszłym wieku księgarz Fr. Pustet w Ratysbonie przedrukował na nowo edycyę medycejską Gradualu z 1614 i 1615. r. Gdy odebrany od stolicy św. przez Pusteta przywilej trzydziestoletniego wydawania choralu medycejskiego się skończył, Ojciec św. Pius X polecił osobnej komisyi, na której czele stanął uczony benedyktyn Dom Porthier, wydanie Gradualu, opartego na długoletnich studyach O. O. Benedyktynów w Solesmes, a podającego choral według najstarszych znanych źródeł rekopiśmiennych XI. wieku. Pierwotne melodye gregoryańskie, orzekł Pius X. w swem Motu proprio z 22. listopada 1903, przechowane w starych rękopisach mają być przywrócone; uważać przytem trzeba, by z jednej strony uwzględniono właściwą tradycyę upłynionych wieków, by zaś z drugiej strony nie zapomniano o dzisiejszych zwyczajach liturgicznych.

Przed trzema laty praca komisyi ukończona została. Owocem jej jest t. zw. Watykańskie wydanie Gradualu św. Kościoła Rzymskiego, będące, jak niegdyś ono Antiphonarium św. Grzegorza łańcuchem do konfesyi w bazylice św. Piotra w Rzymie przymocowane, kodeksem śpiewu choralnego podczas mszy św. dla całego Kościoła Katolickiego.

Kongregacya św. Obrządków w dekrecie swym umieszczonym na początku tegoż Gradualu z 7. sierpnia 1907. postanawia, że tolerowane dotąd tylko wydania dotychczasowe śpiewu rzymskiego odtąd powyższego wydania urzędowego, a zarazem wzoru dla wszystkich wydań późniejszych, zastąpić nie będą mogły.

O przywilej wydawania tegoż śpiewu wydawca i drukarz u Stolicy Apostolskiej starać się winien. Otrzyma go pod warunkiem, by

prędzej nowe wydanie przez biskupa dyecezalnego zatwierdzone nie zostało, dopóki tenże nie przekona się, że zgadza się ono z urzędowem wydaniem Watykańskiem.

Warunki powyżej podane wypełniła księgarnia nakładowa Leonarda Schwanna w Dysseldorfie, wydając za pozwoleniem Stolicy św. i z „Imprimatur“ biskupiem Gradual Rzymski

1. w całości dla katedr i dla klasztorów, *)

2. w wyciągu dla kościołów parafialnych. **)

Druk w obydwóch wydaniach jest piękny i wyraźny, papier wyborny. Nakładca chciał widocznie zaspokoić i najwybredniejsze wymagania znawców i śpiewaków kościelnych. Także o melodye do Proprium Polski i Szwecyi postarał się wydawca. Opracował je według norm watykańskiego chorału i na podstawie Graduału Piotrkowskiego X. Dr. Surzyński. Cenna ta praca naszego mistrza znalazła zatwierdzenie Kongregacyi św. Obrządków dekretem z 30. lipca 1910 r. Odtąd innych melodyj choralnych do tekstów mszalnych tegoż Proprium używać nie wolno. Uznane one są przez Rzym jako jedynie właściwe i niezmienne wyśpiewanie tychże tekstów.

Wyciąg z Graduału zaopatrzony jest w aprobatę Najprzewielebniejszego X. Biskupa dra Likowskiego, Administratora archidyecezyi Poznańskiej. Oprócz słowa wstępnego X. dra Surzyńskiego znajdzie w nim śpiewak:

1. dosłowne tłomaczenie polskie dekretu Kongregacyi św. Obrządków z 7. sierpnia 1907, dotyczącego wydania Graduału watykańskiego,

2. odpowiedź na pytanie, co spowodowało wydanie tegoż Graduału,

3. treściwą naukę o kształcie i o używaniu nut czyli neum w śpiewie rzymskim,

4. opis obrządków w czasie śpiewu mszalnego.

Ażeby ułatwić śpiewakom zrozumienie tekstu liturgicznego pod nuty podłożonego umieścił X. dr. Surzyński na dole każdej stronnicy jego tłomaczenie polskie według X. Jakóba Wujka T. J. Także tytuły świąt i wszystkie rubryki po polsku podane zostały. W miniaturowej tabeli na końcu książki zestawione zostały najpotrzebniejsze wskazówki do prędkiego nauczenia się nut choralnych i neumów.

Najprzewielebniejszy X. Biskup dr. Likowski raczył w kościelnym Dzienniku urzędowym dla archidyecezyi Gnieźnieńskiej i Poznańskiej nr. 10. r. 1910 wydanie powyższe graduału wraz z Proprium Polski i Szwecyi z tłomaczeniem polskiem najusilniej czcigodnemu duchowieństwu polecić.

*) Graduale Romanum, juxta editionem Vaticanum. Dysseldorf L. Schwann. Dwa tomy oprawne mk. 10. — To samo w jednym tomie opr mk. 7.

**) Epitome e Graduali de Tempore et de Sanctis SS. D. N. Pii X. P. M. jussu restituto et edito cui addita sunt festa novissima. Editio Schwann T. Opr. mk. 5,60.

**) Księga Graduału Rzymskiego. Wyciąg z Graduału Rzymskiego w wydaniu Watykańskiem z polskiem tłomaczeniem rubryk i tekstu. Wydanie Schwanna U. 4. Dysseldorf 1910. Drukiem i nakładem L. Schwanna. Opr. mk. 4,80.

Missae Sanctorum Patronorum Poloniae et Sueciae. Msze o Świętych Patronach Polski i Szwecyi. Dodatek do Graduału Rzymskiego. Dysseldorf 1910. Nakładem i drukiem L. Schwanna. Cena mk. —,60.

Nasze ryciny.

Towarzysz pancerny.

Z powodu złotego jubileuszu twórczości artystycznej sławnego malarza polskiego Józefa Brandta (patrz artykuł p. t. „Jubileusz Brandta“ i albumowy obraz „Zaporożec“ w zeszłym zeszycie „Pracy“) dajemy dziś na karcie albumowej reprodukcyę drugiego jego pięknego obrazu, zatytułowanego: „Towarzysz pancerny.“

Szczęk szabel, tętent rozhukanych rumaków, okrzyki upojonego zwycięstwem rycerstwa, zlewające się z szumem kołysanych wichrem traw stepowych — oto charakterystyczna pieśń, wypływająca z przedostatnich świetnych kart dziejowych Rzeczypospolitej Polskiej i stanowiąca przewodni motyw bogatej twórczości Brandta. Na obrazie przedstawił nam znakomity malarz-artysta towarzysza pancernego, jadącego przez step w pobliżu karocy królewskiej. Sam tytuł wskazuje nam, że mamy tu przed oczyma jednego z tych nieustraszonych bojowników, któ-

DO CZYTELNIKA.

Miło nam podzielić się z szanownym czytelnikiem wiadomością, że nowy rok niespodziewanie wysoką liczbę nowych nam przyniósł prenumeratorów.

Chcąc przeto okazać czytelnikom wdzięczność z tego powodu, postanowiliśmy spełnić życzenie, z którem z wielu stron do nas przystępowano. Chodziło mianowicie o ogłoszenie w „Pracy“ **powieści ilustrowanej.**

Ponieważ jest to rzecz **bardzo kosztowna,** przeto odkładaliśmy urzeczywistnienie tego planu do szczęśliwszych czasów.

Obecnie jesteśmy dzięki przypływowi nowych czytelników w możności pozwolić sobie na ten ekspens.

Nabyliśmy tedy nadzwyczaj zajmującą powieść p. t.: **„Tajemnice morza“ wraz z licznemi ilustracyami,** które w tekscie zamieszczać będziemy. Publikacyę nowej powieści ilustrowanej rozpoczniemy w najbliższym zeszycie naszego pisma. Powieść tę młodzi i starzy pochłaniać będą z wciąż rosnącem zainteresowaniem, a piękne ryciny, ilustrujące szczególniej zajmujące sceny powieści, znajdą poklask powszechny. Prosimy tedy wszystkich naszych szanownych czytelników, aby jaknajwcześniej odnowić raczyli prenumeratę na zbliżający się kwartał nowy, by nie doznali zwłoki w odbiorze pisma.

Równocześnie zwracamy uwagę na dalsze ulepszenie i urozmaicenie naszego pisma.

Jak szanowni czytelnicy spostrzegli, zaprowadziliśmy także od niejakiegoś czasu w piśmie naszem **ilustracye humorystyczne.** Oświadczamy jednak z góry, że z powodu znacznych kosztów, jakie to ulepszenie za sobą pociąga, moglibyśmy je kontynuować tylko wtedy, gdyby z nowym kwartałem liczba prenumeratorów „Pracy“ **bardzo znacznie** się wzmogła.

Kto zatem pragnie, by inowacya ta w „Pracy“ na stałe się utrzymała, niechaj przez pilną agitacyę za pismem naszem umożliwi nam osiągnięcie jaknajwiększej liczby prenumeratorów na kwietnia. Administracya nasza służy każdemu chętnie zeszytami agitacyjnemi „Pracy.“

W każdym razie zapowiada się „Praca“ dzięki wprowadzeniu ilustracyj do działu powieściowego i humorystycznego nader ponętnie na przyszły kwartał.

Sądzimy tedy, że szanowni czytelnicy dołożą starań, by „Pracy“ nowych zjednywać abonentów i prosimy ich o tę pomoc najuprzejmiej. My zaś nie będziemy ustawać w pracy, by pismo nasze stale ulepszać i zasłużyć w ten sposób na uznanie czytelnika.

Niechaj nam nakoniec wolno będzie zaznaczyć, że w ciągu trzech lat ostatnich, od którego to czasu „Praca“ pozostaje pod obecnem kierownictwem, budżet roczny rozchodów „Pracy“ spowodowanych zaprowadzeniem licznych ulepszeń (lepszy papier, większa liczba ilustracyj, zaprowadzenie ulepszeń pod względem treści pisma i t. d.) podniósł się o kilka tysięcy marek. Wszystko to przeprowadziliśmy nie podnosząc ceny prenumeraty. Sądzimy tedy, że zdobyliśmy tem niejakie prawo do odwołania się do życzliwości naszych szanownych czytelników i ośmieleni tem upraszamy ich o pilną za pismem naszem agitacyą.

Wydawnictwo „Pracy.“

P. S. W przygotowaniu obrazy albumowe wykonane w trzech kolorach.



Paleta zbiorowa artystów polskich w Monachium (Józef Brandt, jubilat, Władysław Czachórski, Józef Rosen, Olga Boznańska, Władysław Szerner, Julian Fałat.)

rzy, rzucając się na dziesięćkroć liczniejsze zastępy wroga, roznosili je na szablach i kopytach.

Jednocześnie zamieszczamy paletę zbiorową naszych artystów polskich w Monachium (Józef Brandt jubilat, Olga Boznańska, Władysław Szerner, Juliusz Fałat).

KRONIKA.

— Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowała się tylko gazeta polska, bo tylko polska gazeta jest prawdziwą przyjaciółką domu polskiego.

—Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dlatego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— Bank Ludowy w Jeżycach, — (w Poznaniu) wykazuje w sprawozdaniu za rok 1910. znaczny wzrost we wszystkich pozycyach, po porównaniu ich z latami ubiegłemi! Szesnasty rok istnienia dowodzi, że spółka Jeżycka zalicza się już dziś do instytucyj poważnych, dzięki zabiegliwości i ostróżności zarządu jako też Rady Nadzorczej. Widocznie zarząd umie skrzętnie chodzić koło interesów spółki, bo w niej panuje ład i porządek.

Brutto obrót wynosił 7697328,84 mrk. — Bilans balansuje tak w aktywach jak pasywach sumą 967264,12 mrk. — Funduszy rezerw., specyaln. i emerytaln., posiada spółka po dopisaniu 10 procent ze zysków razem 19097.— mrk. Akcyi Banku Związku za 14000.— mrk. Pożyczki w bankach potrzebne do obrotu wynoszą 58246.— mrk. Pożyczek na weksle udzieliła spółka za 862461.00 mrk. Nieruchomości wynoszą 88893.— mrk. Za to posiada spółka depozytów w ilości 705413.— mrk. Udziałów wpłacono 148690 mrk., tak że na jednego członka przypada udziału wpłaconego 161.— mrk. Odpowiedzialność wszystkich członków razem wynosi 998000.— mrk. Członków liczy spółka 924, a zatem przybyło 60 członków. Zysk do dyspozycyi Walnego zebrania wynosi 9775.01 mrk., a spółka proponuje 6 procent dywidendy.

Zarząd stanowią: Jan Kosicki: dyrektor, Stanisław Chmielewski: skarbnik, Józef Ganke: kontroler, Prezesem Rady Nadzorczej jest Dr. Ignacy Maćkiewicz.

— Towarzystwo Uczniów Handlowych w Poznaniu urządza w 5-tą rocznicę istnienia, dnia 12-go b. m. o godzinie pół do 8-mej wieczorem na małej sali Lamberta wieczornicę. Procz teatru („Ach to Zakopane,“ krotochwila w trzech aktach M. Gawalewicza) wypełnią program: deklamacya, śpiewy chórowe i monolog. Koncert wykona orkiestra p. Szala.

— Z prowincyi. We wsi Z. pod L. okupił się gościnny Józef W., który przy gościńcu założył skład kolonialny. Cieszyć by się należało, że Polak interes taki w wiosce czysto polskiej założył, ale od kogo towary sprowadza? Od żyda w P., chociaż towary takowe w P. z polskich składów można nabyć, jak n. p. u panów J. F., K. itd., towary gospodarcze z Rolników w L. lub w P.

Na takie postępowanie p. Józefa W. ludność miejscowa jest bardzo oburzona.

Czytelnik „Pracy.“

Kostrzyn. Dnia 14. z. m. odbyło się w mieście naszem uroczyste otwarcie i poświęcenie fabryki makaronów „Androla“ własności pp. Andruszewskich. Poświęcenia dokonał ks. prob. Niedbał z Żydowa, bliski krewny państwa Andruszewskich, w obecności ks. prob. Fischbacha i grona zaproszonych gości, razem około 25 osób. Pomiędzy nimi widzieliśmy kilku reprezentantów kupiectwa z Poznania, reprezentantów kupiectwa kostrzyńskiego i kilku obywateli z Kostrzyna. Po poświęceniu podejmowali pp. Andruszewscy gości z iście staropolską gościnnością. Telegramów, przeważnie kościuszkowskich, nadeszło kilkadziesiąt. Z nich wyróżniały się treścią: telegram ks. Jęsika z Poznania, telegram p. Śmiśniewicza ze Środy, który życzył założycielom doczekania 25 letniego jubileuszu, dalej telegram p. Thomasa z Borku, który życzył, aby kupiectwo nasze weszło jaknajprędzej w stosunki z nową fabryką, bo w naszych warunkach ważnym obowiązkiem kupiectwa jest przyczyniać się do rozwoju rodzinnego przemysłu. Z gości toastowali: ks. prob. Niedbał na pomyślność i rozwój fabryki, p. Ignatowicz na cześć założycieli, p. Gustowski na rozwój wytwórczości naszej, bo wytwórczość każdego narodu jest barometrem pewnym bogactwa jego. Obywatel p. B. w dłuższej, kwiecistej przemowie wzniósł dwa toasty na cześć kobiet naszych i obecnych wybitniejszych reprezentantów kupiectwa. Pan Tokłowicz toastował na pomyślność organu fachowego „Kupca,“ iżby zawsze przyczyniał się jaknajwięcej do popierania wytwórczości rodzimej. Pan Gustowski podnosił działalność duchowieństwa, pozyteczną dla społeczeństwa naszego, a w szczególności także dla przemysłu i kupiectwa. W serdecznych słowach dziękował p. Andruszewski obecnym za życzliwość i młode swo-

je przedsiębiorstwo polecał kupiectwu i publiczności naszej. Wszelkich sił dokładać będzie, ażeby dobry zawsze dostawić towar, ażeby nikt nie mógł twierdzić, że obce jest lepsze niż nasze, i dla tego też spodziewa się, że znajdzie potrzebne u kupiectwa poparcie. Na tem zakończyła się oficyalna część uroczystości otwarcia nowej fabryki makaronów.

Fabryka makaronów mieści się w osobnym, na ten cel wzniesionym gmachu jednopiętrowym. Maszyny wszelkie, urządzone według najnowszych ulepszeń w tej gałęzi przemysłu, pędzone są siłą motorową. Zapasy wielkie w suszarni, oraz obszerne ubikacye tejże przekonały nas, że stworzono nowe poważne przedsiębiorstwo fabryczne, liczące się przedewszystkiem z wielką na tem polu konkurencyą obcą, którą wyprzeć tylko można tworząc większe poważniejsze przedsiębiorstwo, a przedewszystkiem wyrabiając towar doskonały w ładnem, gustownem i miłem dla oka opakowaniu. Również nazwa „Androla" wydaję nam się bardzo szczęśliwą i odpowiednią dla takiego rodzaju przedsiębiorstwa. Jeszcze raz apelujemy do publiczności naszej konsumującej, a przedewszystkiem do kupiectwa naszego, aby pamiętało o nowej fabryce makaronów i dopomogli, ażeby jej wyroby jaknajprędzej zaprowadziły się w handlu naszym.

— **Śrem.** W tutejszem gimnazyum odbył się dnia 2-go b. m. egzamin dojrzałości. Z 11 abituryentów zdało egzamin 10, z tych 5 Polaków: pp. Łukowiak, Ludwik i Jan Podkomorscy, Śmigielski i Talarczyk.

Nekrologia.

— **Ś. p. Ewa z Karśnickich Maćkowska,** żona publicysty, b. redaktora pism w Poznańskiem i na Śląsku pruskim, byłego naszego długoletniego współpracownika, obecnie członka redakcyi „N. Reformy". Wnuczka wybitnego w Wielkopolsce obywatela, uczestnika powstania z r. 1863, prof. Adama Karwowskiego, wychowała się w Lesznie w jego staropolskim domu, znanym swego czasu szeroko w Poznańskiem, w zasadach głębokiej religijności i gorącej miłości kraju. — **Ś. p. Honorata Waszkowiakowa,** dnia 1-go b. m. w Swarzędzu w 83-im roku życia. — **Ś. p. Julianna z Kamienicznych Sternicka,** dnia 1-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Bronisława Wróblewska,** dnia 26-go z. m. w Pączewie w Prusach Zachodn., przeżywszy 32 lata. — **Ś. p. M. Magrean,** dnia 2-go b. m. w Polechowie w Prusach Zach. w 53-im roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 6-go b. m. w Pucku. — **Ś. p. Franciszek Walczak,** dnia 1-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 56 lat. — **Ś. p. Michalina Zielińska,** dnia 1go b. m. w Inowrocławiu, w 63-im roku życia. — **Ś. p. Zofia Powałowska,** dnia 3-go b. m. w Poznaniu na św. Łazarzu. — **Ś. p. Adolfina Marya Marczyńska,** dnia 2-go b. m. w Poznaniu.— **Ś. p. Marya z Raniszewskich Wysocka,** dnia 22-go z. m. w Gnieźnie. — **Ś. p. Antoni Kortaś** dnia 5-go b. m. w Kończycach w 57-ym roku życia w Prusach Zachodnich. Pogrzeb odbył się dnia 7-go b. m. w Nowem. — **Ś. p. Róża z Jackowskich Sadowska,** dnia 5-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Polikarp Marszewski,** gorliwy pracownik w administracyi „Gazety Toruńskiej", „Gazety Codziennej" i „Przyjaciela," dnia 5-go b. m. w Toruniu, przeżywszy lat 71. Nieboszczyk położył około polskości w Toruniu niepomierne zasługi, nie uchylając się od pracy w towarzystwach. — **Ś. p. z Kalksteinów Józefa Czapska,** dnia 6-go b. m. w Kucharach, w 65-tym roku życia. — **Ś. p. z Promińskich Wiktorya Grzelak,** dnia 4-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 74. — **Ś. p. Zofia Kłosińska,** dnia 5-go b. m. w Mysłowicach na Górnym Śląsku w 12-tym roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Jankowi z Michałkowic.** My także dziękujemy Szan. Panu staropolskiem: „Bóg zapłać" za zjednywanie nam nowych abonentów.

— **Panu Janowi S. na obczyźnie.** Dziękujemy serdecznie za tak piękne słowa uznania dla „Pracy." Z drogi raz obranej nic nas nie sprowadzi i dalej pracować będziemy w tym samym duchu dla oświaty.

— **Wiarusowi.** Racya, lud nasz już dziś jest tak oświecony, że takich fałszywych przyjaciół rozpędzi na cztery wiatry.

— **Wierszoklecie.** Niestety! Końcówki: cieniem — mruczeniem; porachuje — zarymuje; kozera — Lucypera — są zbyt „modernistyczne", więc wierszyk Szan. Pana pogrzebaliśmy w koszu.

— **Druhom Sokołom w Kolonii.** Serdecznie dziękujemy za miłe pozdrowienie. Czołem!

— **Panu M. w Nysie.** Cieszy nas, że się Szan. Panu nagroda za rozwiązanie szarady bardzo podoba.

— **Wiel. ks. W. W. w S.** (Prusy Zachodnie) Patrz nr. 50 „Pracy" z roku zeszłego na stronie 1575.

— **Panu Michałowi K. na prowincyi.** Cieszy nas, że się „Praca" sąsiadom podoba. Many też w zapasie do dalszych numerów przygotowane ładne i interesujące rzeczy.

— **Pani Jadwidze S. w Berlinie.** Za życzenia tak szczeremi słowy wyrażone i za uznanie dla naszej pracy serdecznie jesteśmy wdzięczni.

—**Towarzystwu śpiewackiemu w Szopienicach** na Górnym Śląsku. 1) Teodor Białas, Poznań, Wrocławska ulica 38 (Posen, Breslauerstr. 38), Jan Kochanowski Poznań, ulica Poznańska 25 (Posen, Posenerstr. 25), 3) J. Pendowski Poznań, ulica Wrocławska 36 (Posen, Breslauerstr. 36).

Nowe książki i treść pism.

— **Ks. Dr. Andrzej Dobroniewski: „Modernizm i moderniści."** Nr. 27. „Głosów na czasie." Nakład Drukarni i księgarni św. Wojciecha Cena 1,20 mrk.

— **D. Królikowski: „Książka dla młodzieży rzemieślniczej."** Nakład Drukarni i księgarni św. Wojciecha. Cena 1,20 mrk.

— **Kazimierz Chłapowski: „Pojedynki a Liga ku ochronie czci i honoru."** Nakład autora. Cena 50 fen.

— **X. Ignacy Niedźwiedziński** „Socyalizm jego rozwój i zasady." Nakład autora. Cena 1,00 mrk.

— **„Śpiewaka,"** miesięcznika literacko-muzycznego, organu Związku Kół Śpiewackich, wyszedł z druku Nr. 3-ci (Rok V.) i zawiera: Od Wydziału, Kasa Związku, Wydawnictwa Związku — dalej; Melodye, które giną (część II.) Sonety krymskie (H. Rzepecka). Z życia Kół. Dodatek zawiera utwór: „Do chat" chór mieszany O. M. Żukowski. Przedpłata wynosi 1 markę kwartalnie i porto. Numery na okaz wysyła chętnie gratis i fr. Eksp. „Śpiewaka." K. T. Barwicki Poznań Półwiejska 35. (Halbdorfstrasse).

— **Badanie moczu.** — Praktyczny podręcznik, podający wskazówki i sposoby łatwego rozpoznawania chorób i cierpień z wyglądu i rozbioru moczu. Z liczn. rysunkami oraz z tablicą kolorową. Berlin. Nakł. „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski. Berlin N. Weissenburgerstr. 27). Cena 1 M., 1,20 kor., 50 kop.

Jestto istotnie podręcznik praktyczny, podający wszelkie także sposoby łatwiejsze, jakie celem zbadania moczu podejmować można „bez pomocy lekarza lub aptekarza."

— **„Przewodnika Zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) numer 2-gi wyszedł i zawiera następującą treść: Abecadłowy spis chorób z podaniem odpowiednich środków przeważnie roślinnych. — Pościć — ale jak i poco? — Arszenik lekarstwem? Kilka uwag o najnowszym środku antysyfilitycznym „Ehrlich — Hata 606." — Gorące powietrze jako środek przeciw gruźlicy. — Mieszanki herbatne przeciw różnym cierpieniom. — Rozmaitości.

— **„Miesięcznika kościelnego"** ukazał się zeszyt 27-my na marzec i zawiera:

Protest zbiorowy Ojców Jezuitów wygnanych z Portugalii przez rewolucyę r. 1910. (Ks. Euzebiusz Stateczny). — Katechumenat a sakrament chrztu św. w pierwszych wiekach Kościoła. (Ks. Jan Czaplewski). — O wolności woli ludzkiej. (Ks. Alfred Linke). — (Ciąg dalszy) — O t. zw. regułach prawa kościelnego. (Ks prałat Dr. Klopsch). (Dokończenie). — Obraz świętej Rodziny. (Ks. Józef Góral (C. M.) (Dokończenie.) — Zapiski. Z teki pytań: Jak się rozwinął okres 40-dniowy wielkiego postu? (Ks. Józef Zalewski.) — Z prawodawstwa kościelnego. — Z sądownictwa państwowego. — Nowe książki. Sprawozdania. Wzmianki. Zestawienia.



Przed domem wygnańców polskich na Sybirze.

Profesor Julian Baczyński

Ofiary Sybiru

czyli

Krwawa rocznica.

Opowiadanie historyczne.

(Ciąg dalszy).

III.

Bo właśnie, gdy już spisek rozwinął się na dobre i nawet dzień wybuchu raznaczony już został, przed komendantem twierdzy w Omsku zjawił się jakiś niepozorny człowiek, jakiś **sołdat** — najprzód jeden, za nim zdala czołgało się jeszcze dwóch — i z największą nieśmiałością, bijąc pokłony, oglądając się na wszystkie strony, wyszeptał cicho:

— Wasze Prewoschoditielstwo....[1]) Poliaki... bunt... daleki... szeroki...

Komendant stanął, zmarszczył czoło i wrzasnął:

— Szto?... wciosz durak!... Paszoł!... won!![2])

Ale zawołał służbowego praporszczyka, za chwilę zbiegło ich się więcej i słychać było tylko niespokojne, urywane wyrazy:

[1]) Jaśnie Wielmożny Panie!

[2]) Co?.. kłamiesz dur...! Idź.. precz!

— Łowi... łowi! Dierżi!... Wiazat ich!... W tiurmu ich!...[3])

Komendant fortecy wydał pospieszne rozkazy i uwiadomienia i wkrótce wszystkie wydatniejsze osoby pomiędzy wygnańcami polskimi, tak w Omsku jak i w innych miejscowościach, zostały uwięzione. Odpowiednie sprawozdanie przesłał komendant carowi Mikołajowi I. do Petersburga. Otrzymawszy je zawrzał car strasznym gniewem:

— Ha, Poliaki! — krzyknął wściekle — co, Syberyę oderwać?! Plan znakomicie ułożony łatwo byłby się udał! Na Syberyi z buntowszczykami Polakami walka byłaby trudną, byłaby ciężką, byłaby wielką i straszną i dla nas skończyłaby się niepomyślnie!

— Ha, Poliaki! — zgrzytnął znów —dobrze, że było trzech wiernych synów, co donieśli! Ha, Poliaki buntowszczyki, zemsta wam sroga!

Rzucał się, to znów strachem przejmował i syczał straszny car, aż wydał dziki wyrok kary na spiskowców.

Im większy był przestrach Moskali na wypadek, gdyby spisek był się udał, tem sroższa miała być zemsta. Rozesłano rozkazy i wnet zebrały się komisye śledcze, które wydały wyrok tej treści:

— Buntowników bić kijami dotąd, dopóki ducha nie wyzioną!

I wkrótce miała się w Omsku odbyć egzekucya kary i zemsty, której obraz synowie polskiej ziemi dokładnie i na zawsze zapamiętać sobie winni.[4])

[3]) Łapać.. Trzymać.. Wiązać.. Zamknąć!..

IV.

Nadszedł mroźny dzień 7-go marca 1837 r. Za miastem Omskiem na szerokiej przestrzeni uwijają się sołdaty, oczyszczają i starannie równają miejsca, usuwając kupy śniegu, co w czasie trzaskającego mrozu z trudnością im robić przychodzi. Nagle rozległa się głośna komenda, słychać zbliżający się tupot i na wyrównaną przestrzeń wchodzą miarowym krokiem szare oddziały wojska. Bębny grają jeszcze, a trzy bataliony piechoty posuwają się, zakręcają, równają, aż stanęły nieruchomo wyciągnięte, w równe, długie ulice. Po bokach leżą nagromadzone stosy ciętych równych gałęzi. To wiśniowe długie i grube mocne pręty, które, użyte do smagania, nie prędko się złamią. Do tych prętów zbliżają się kaprale, biorą ich po kilka i rozdają stojącym w szeregach żołnierzom, którzy dziś katami być mają.

Jakiś brzęk rozległ się zdala. To

[4]) Agaton Giller, który walczył później w powstaniu r. 1863 i skazany na Sybir pędzony był piechotą przez dalekie stepy w towarzystwie pospolitych zbrodniarzy, wśród udręczeń i mąk najróżniejszych — słyszał na miejscu o tej krwawej egzekucyi i opisał ją w pełnych grozy, wstrząsających wyrazach. Według tego opisu skreślone jest niniejsze opowiadanie.

brzęk ciężkich kajdan, w które zakuci polscy więźniowie; ponure ich grupy ukazują się i posuwają od strony więzienia. Stanęli z pochylonemi głowami i słuchają wyroków, odczytywanych im przez oficerów.

— Przez kije!... Po 6 tysięcy pałek!

Zaczął się ruch. Do więźniów rzucają się siepacze i zdzierają im koszule, całkiem obnażając ciało od stóp aż do szyi. Sybirski mróz trzaska, a nagością świecą nędzne ciała Polaków; każdemu z nich obie ręce krępują teraz zbiry i przywiązują je do lufy karabinu. Po dwóch kaprali, ciągnąc za sobą kolbę, wprowadzają jednego po drugim więźnia-męczennika w wyciągniętą ulicę żołnierzy.

Dwunastu tych pokrępowanych, z nagiemi, drżącemi ciałami, polskich męczenników, — całe szeregi moskiewskich sołdatów — katów z podniesionemi, do razów gotowemi kijami!

Rozległ się głos komendy:

— W pochód!

Zawarkotały bębny, zagrała dzika muzyka i w takt jej ruszył się ten straszny pochód; posypały się razy gibkich wiśniowych prętów na gołe plecy, piersi, głowy, brzuchy i nogi ciągnionych więźniów. Już przeszli jedną ulicę, przy końcu jej ukazały się strzępy ludzkich ciał kijami odrywane: zwijają się, kręcą, odlatują na boki, coraz więcej krwawych ciała kawałków odrywa się, odkłada i wlecze po ziemi za idącymi, ukazując gołe już żebra krwią broczących męczenników. Pręty smagają ciągle, bo wykonawców kary pilnują jeszcze starsi, a ulicami posuwają się już tylko krwawe szkielety umęczonych istot ludzkich. Już przez te gołe kości widać wnętrzności, widać serca ludzkie. Nie robi na zbirach wrażenia ten straszny widok, ta ulicą płynąca krew purpurowa, krew męczenników za wolność europejskich i azyatyckich narodów.

(Dokończenie nastąpi.)

Słowność względem siebie i względem drugich jest fundamentem każdego prawego charakteru. Niechaj kto ma więcej dobrych przymiotów niż włosów na głowie, to te przymioty przecież jeszcze nie stanowią prawego i pożytecznego człowieka, jeżeli na nie liczyć nie można.

Z. Kaczkowski.

* * *

Kraje przez siebie, nie przez obcych giną.

Władysław Syrokomla.

* * *

W dniach postu.

Więc ucichł gwar — ruch, zabaw wir,
Muzyki skocznej umilkły tony...
Karnawał zginął — przykrył go kir,
Do pracy wrócił świat rozbawiony.

Świat rozbawiony!... dziwne jest brzmienie
Tych słów w dzisiejszej świata niedoli...
Gdzie, niźli uśmiech — częstsze westchnienie,
Gdzie miasto szczęścia — więcej niewoli.

Bawić się! hulać!... o, tak bywało
Na naszej ziemi przed wielu laty...
Gdy się pohańców z kraju wygnało,
A kraj był wolny — silny — bogaty.

Lecz dzisiaj!... Boże!... w łachmanach sromu,
W więzach, cierpieniach — wśród łez boleści
Komu tu hulać — i śpiewać komu,
Komu o tanach podawać wieści?

Post u nas wielki — post długotrwały
Wiekowych cierpień, pokuty — żalu...
Nas już popiołem wrogi nazwały,
Gdy my być musim siłą metalu.

Niezłomni — mężni i nieugięci
Hartujmy wolę — wzmacniajmy siły...
Nie zabawami bądźmy zajęci,
Lecz myślmy wskrzesić życie z mogiły.

Popiołem głowy posypmy snadno,
A serca strojmy w złota odblaski...
Poprawą życia sięgnijmy na dno,
A bądźmy godni zbawienia łaski.

Post, bracia moi!... Post w Polsce wielki,
I dokąd nieba nie dadzą mocy,
Dokąd nie będzie cnoty kropelki,
Dotąd nie wyjdziem z pokuty nocy!!

Jadwiga.

Przy kominku.

Drobnostki.

Ach te drobnostki!

Nieznośne! Męczą nas i stawają nam wszędzie na drodze! Psują nam każdą chwilę szczęścia!

Miłe i pożądane! Pocieszają nas i łagodzą ból! Ozłacają i osładzają niejedną przykrość w życiu!

Wielkie radości ogarniają nas jak huragan — porywają, podnoszą w górę i rzucają dosyć nieoględnie na ziemię, gdzie nas zwykłe oczekują troski.

Drobne radości są jak kwiaty nad drogą, którą codziennie chodzimy — towarzyszą nam wszędzie swoją miłą, słodką wonią i cieszą oko nasze jasnemi barwami.

Tylko ludzie nieuważni i szaleni przechodzą koło nich, nie patrząc na nie, a przecież nasuwają się same każdemu i nie trudno je spostrzedz!

Wielkie szczęście przychodzi rzadko w życiu, ale małe, drobne radości są zawsze przy nas; dosyć nam rękę wyciągnąć, aby je zatrzymać.

Wielki ból spada na nas jak burza — ogłusza nas i wstrząsa całą naszą istotą, ale gdy mija, oddychamy czystem powietrzem i jak na niebie po burzy znów słońce jaśnieje, tak i w naszych sercach jasno jest i pogodnie.

Drobne cierpienia są jak mrówki i pokrzywy, jak komary i osy — męczą nas i palą, brzęczą i kłują, a gdy znikają, zostawiają nam truciznę i zniechęcenie.

Lecz jeżeli mamy odwagę walczenia z wielkiemi przeciwnościami losu, to czemu nie mamy walczyć z „drobnostkami"? Łatwiej naturalnie obronić się przed szczekającym psem niż przed rojem pszczół, lecz spotykamy jedno i drugie na drodze naszego życia. Całe zaś nasze życie powszednie składa się przeważnie z drobnostek: z drobnych obowiązków, drobnych cierpień i radości. Sześć dni powszednich i jedna tylko niedziela; na 60 razy 6 drobnostek jeden tylko los, jedno życie wielkie!

Z drobnostkami życia musi każdy umieć sobie poradzić. Niejedno dziecko boi się pełzających lub skaczących robaków i t. p., a dać mu spokojnie w rękę pająka, chrabąszcza lub nietoperza, wzbudzi się jego zajęcie i nierozsądny strach znika zupełnie.

Tak samo dzieje się z drobnemi przykrościami życia powszedniego. Jak małem i nierozsądnem jest zwykle to, co nas oburza, gniewa i niepokoi, co nam cały humor nawet psuje! Stłuczona szklanka, nieprzyjemna wizyta, źle zrobiona suknia, zgubione rękawiczki, niedbała kucharka i tym podobne sprawy domowe! Przypatrzmy się w spokoju wszystkim tym drobnostkom, a uznamy, że nie warto się gniewać — tak samo, jak dziecko uznaje, że nie ma się czego lękać pająka lub chrabąszcza!

Wtedy ocenimy lepiej miłe i radosne drobnostki, które nam humor naprawią i serce szczęściem napełnią!

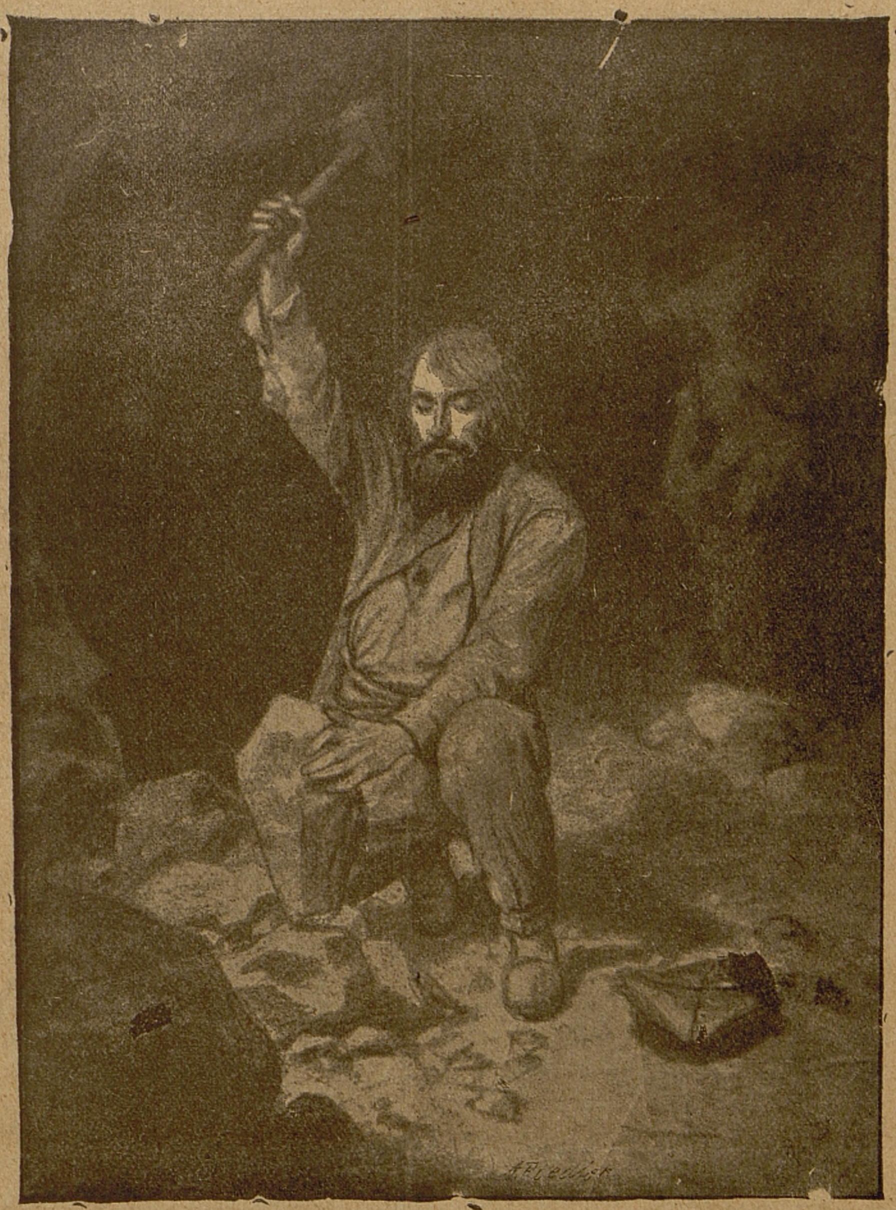
Jedno serdeczne spojrzenie uko-

chanych oczu, jeden uścisk ręki — zajmująca książka, ładny obrazek — blask słońca, wonny kwiatek lub śpiew ptaków — same drobnostki, nic nie znaczące — a nam jednak drogie i miłe.

Te drobnostki pożądane sercu, są wszędzie — trzeba je tylko widzieć i otworzyć im drzwi. Przyjdą one tak licznie, że dla złego już nie będzie miejsca! Bo pokrzywa parzy tylko wtenczas, gdy jej dotykamy, a pszczoły i osy kłują najwięcej wtedy, gdy im się opędzamy. Przejdźmy spokojnie obok nich, bez słowa, bez spojrzenia! Dosyć spotykamy złego, po co zwracać jeszcze więcej na nie uwagi?

Najlepszą tarczą przeciw drobnym, kolącym cierpieniom jest wiara i myśl o rzeczach wzniosłych!

Empa.



W kopalni syberyjskiej.

Dział kobiecy.

Zapomniany strój głowy.

Czepek — nawet ranny czepeczek — dawno już wyszedł z mody, nawet starsze (bo starych nie ma) panie wolą lekką zarzutkę koronkową, niż czepek, który dawniej bywał jedynie przywilejem mężatek.

Tylko małe dziewczynki i podlotki stroją się chętnie w czepki, jeżeli im się uda znaleść jaki stary okaz w komodzie babci.

Czepek znany był już w czasach starożytnych i powstał zapewne z welonu, którym kobiety na Wschodzie osłaniały głowy przed palącemi promieniami słońca.

Welony takie, zakrywające całą twarz, noszą dziś jeszcze Egipcyanki, prawo zmusza je do tego. Oprócz tego zachowały się woale w Hiszpanii — i tam nie pokaże się żadna kobieta bez czarnej lub białej mantyli, w której kobietom bardzo do twarzy.

Królowe perskie nosiły także pewien rodzaj czepca, zwanego „kidarys“, ozdobionego dyademem lub królewską przepaską, owiniętą białą i niebieską materyą.

Kobiety germańskie nie nosiły nigdy czepków w najdawniejszych czasach — piękne, bujne, jasne włosy jedyną ich były ozdobą. Później dopiero pod wpływem zwyczai i obyczai rzymskich, zaczęły nosić czepki, i to tak śmieszne, że trudno dziś pojąć, jak mogły się kobiety dobrowolnie w taki sposób oszpecać. Dziwnym był w wiekach średnich kształt czepków francuskich, wyglądały one jak głowa cukru, z której długi spływał welon. Później noszono ogólnie czepki a la Maria Stuart, których „sznyba“, zachodząca nizko na czoło, rozdzielała się po bokach na wysokie łuki, odsłaniające drobne loczki. Czepki te szyto z najdroższych materyj i haftowano złotem, perłami i innemi drogiemi kamieniami. Zdaje się, że z początku nosiły czepki te tylko kobiety panujące i damy dworskie, później jednak miały je też mieszczanki. Małe czepeczki z złotej siatki śliczne były i nosiły je nawet panny, mianowicie we Włoszech. Widzimy także czepeczki na jasnych włosach Desdemony i Julii i najnieszczęśliwszej z kochających kobiet, Franceski da Rimini.

Wszystkie te czepki były różnokolorowe; białe, muślinowe i koronkowe ukazały się dopiero w Anglii pod koniec panowania Karola II, We Francyi zaś za czasów Ludwika XIV. Tam panowała wówczas moda „fontange“ czyli jak u nas mówiono „fontazie“; był to dziwny czepek, noszony jeszcze na początku XVIII. stulecia.

Historya jego bardzo jest zajmującą:

Jedna z „przyjaciółek“ króla Ludwika XIV., Marie Angélique de Scoraille de Roussille, księżna Fontange, znajdowała się pewnego strasznie upalnego dnia z królem na polowaniu. Parasolki nie miała pod ręką, chcąc zaś koniecznie osłonić głowę przed słońcem, nazrywała zielonych liści i utworzyła z nich strój na głowę, który nietylko, że zyskał pochwałę króla, lecz nadto stał się modelem wysokiego, drutem podtrzymywanego czepka, złożonego z białego muślinu i koronek. Forma tego czepka zwała się „commode“ i składała się z sześciu części: z gniazda, przymocowanego do commode, talerza, położonego na gnieździe, „pavilloty“ z skrzydłami albo bez skrzydeł i kolorowej wstążki. Koronki były suto marszczone, wysoko przyszyte, oprócz koronek używano też jeszcze dużo szmelcu i chenilii.

Z biegiem czasu stały się te czepce tak wysokie, że panie w karetach prosto siedzieć nie mogły — i król zaczął się też gniewać, że moda, wynaleziona przez księżnę, zbyt ogólną już była, to

też, gdy w r. 1696 sawoyska księżniczka Marya Adela wyszła za księcia burgundzkiego i w dzień ślubu tylko własne skromnie zaczesała włosy, tak się to królowi spodobało, że wyraził życzenie, aby wszystkie damy dworskie odłożyły fontazie i już się bez czepców odtąd ukazywały.

Ale życzenie króla nie zostało naturalnie uwzględnione, dopiero w roku 1714 zaprzestano noszenia czepków, modę tę zaś zniosła pewna angielska arystokratka.

W Polsce noszono także fontazie, chociaż w daleko mniejszych rozmiarach, później zaś zatrzymano nizkie, obszerne, białe czepeczki z muślinu lub batystu, oszywane tiulowemi „ryszkami“, wymagającemi bardzo starannego prasowania. Kobiety niższych stanów nosiły czarne jedwabne czepki, bardzo nieraz kosztownie haftowane.

Przed czterdziestu mniejwięcej laty nosiły panie śliczne „stroiki“ na wysokiej fryzurze — były to cacka z koronki i kwiatów i zastępowały czepki, dziś i tego nawet nie ma, a szkoda, takie bowiem „stroiki“ były rzeczywiście ładne i było w nich do twarzy młodym mężatkom.

Dawniej musiała każda dziewczyna, wychodząca za mąż, mieć kilkanaście, „rannych czepeczków“ z koronek i tiulu, dziś nawet „nocne czepki“ straciły prawo bytu. Ale chociaż dziś nikt już o czepkach nie mówi, to jednak każdy chętnie się w „czepku rodzi“ i każda młoda dziewczyna nie pragnie niczego tak gorąco jak dostania się „pod czepek“....

M. P.

Do steru! Do wioseł!

Odważnie, ochoczo i szczerze
Uchwyćmy wraz zgodnie za wiosła
I stańmy wytrwale przy sterze,
By łódź nas w odmęty nie niosła.

Wre burza i pienią się fale,
Otwiera się nurtów głębina,
O, stańmy przy sterze wytrwale,
Bo tonąć łódź nasza zaczyna.

Za wiosła schwyć cała załogo,
Przed burzy zatratą broń łodzi,
Wszak miłą ci ona i drogą?
Do pracy, za wiosła, hej młodzi!

Ach, patrzcie, już chwieje się, tonie,
Już całą zalewa piana,
Hej, w wiosła uzbrójcie swe dłonie,
Bo zginie łódź nasza kochana!

Hej prędzej, ach prędzej, czas nagli,
Wiatr wściekły ją pędzi w odmęty,
Trza rozpiąć miast skrzydeł dwóch żagli
Nasz sztandar ojczysty, nasz święty.

Ach, patrzcie, łódź pędzi w otchłanie,
Krzyż dajcie tu zamiast kotwicy!
Nadzieją my żyjem, o Panie,
Twej łaski i Boga Rodzicy...

A któż tu się swarzy i sarka?
Wśród burzy niech miłość nas łączy,
Przy sterze miłości niech szparka
Łódź nasza odzyska bieg rączy!

Odważnie, ochoczo i szczerze
I zgodnie wraz schwyćmy za wiosła
I stańmy wytrwale przy sterze,
By łódź nas w odmęty nie niosła!

Paula Wężyk.

NA LEDNICY.

Stary Friede był zaciętym hakatystą. Walkę o „Marchje wschodnie“ uważał za najświętszy obowiązek każdego Niemca. Trzymał „Posener Tageblatt“, napawając się kwiecistemi okresami, ziejącemi nienawiścią dla Polaków „tych najniebezpieczniejszych wrogów Wszechniemiec...“

Każdą nową zdobycz komisyi kolonizacyjnej, witał ohydnem skrzywieniem ust, co u niego znaczyło tyle, ne serdeczny uśmiech. Pluł przytem przed siebie i mruczał: na! na! kiwając głową. Działo się to tylko w chwili największej radości... Hansemann, Kennemann i Tiedemann byli jego bożyszczami. Pisywał do nich listy pełne uwielbienia i dziękczynienia, ilekroć wymyślili jaki nowy sposób na wytępienie Polaków. Raz nawet Kennemann raczył mu odpisać. Stary Friede o mało zmysłów nie postradał z radości. List został oprawiony i wisiał w „putzsztubie“ na honorowem miejscu, latem otoczony wieńcem kwiatów, a zimą gałązkami chojny. Hilda, jedynaczka córka, miała obowiązek zmieniać i odświeżać owe ozdoby, co też gorliwie spełniała. W Hildzie „der Polake“ budził to samo uczucie, co pająk lub szczur, tj. wstręt niepohamowany. Wstręt ten zrodził bezlitosną nienawiść!... Jedynem marzeniem Friedego i Hildy było okupić się „na Polaczyźnie“. Pracowali też usilnie, żyli jak nędzarze, byle pieniędzy uskładać. Było zresztą potrzeba nic wiele. Komisya pomaga dzielnie swoim osadnikom.

Kiedy po całodziennej pracy odpoczywali przy piwie i kartoflach, roili o pięknej przyszłości. Friede obliczał, w jaki sposób będzie mógł co rok powiększać swoją majętność. Hilda jak Walkyrja, marzyła o owej szczęśliwej chwili, gdy pocznie nareszcie, wśród zależnej od siebie służby, wypleniać barbarzyńską polską gwarę. Kto będzie mówił po polsku, nie zarobi u niej ani grosza.

W nienawiści do Słowian przewyższała jeszcze ojca. Zawdzięczała to szkole, w której przygotowywano dzielnych szermierzy niemczyzny. Była tak przejęta swoją misyą cywilizacyjną, że mimo lat dwudziestu nie myślała o małżeństwie, choć zalotników nie brakowało. Urodę miała wielką. Typowa Germanka, tęga, wysoka, biała jak listek jaśminu. Chabrowe oczy ocieniał łuk ciemnych brwi, a złote olbrzymie włosy, zwieszały—się w dwu warkoczach, podobnych do grubych złotych sznurów, podtrzymujących purpurowe kotary w królewskich pałacach.

Hilda właśnie dobiegała dwudziestego trzeciego roku, gdy kapitalik zaokrąglił się tak, że można było pomyśleć o nabyciu „Restgutu“. Friede nie myślał się zadowolnić małem gospodarstwem, domem o jednej izbie i jednej komorze. Na Polaczyźnie chciał mieszkać we dworze, zawładnąć większym obszarem. Gdy z Poznania, prywatną drogą, nadszedł list z oznajmieniem, że jest do nabycia majątek, odpowiadający w zupełności wymaganiom starego, on i Hilda pobledli i zaniemieli ze wzruszenia.

Dostawał im się, jak pisano, kawał ziemi w sercu owej znienawidzonej Polaczyzny... nad samem jeziorem Lednicą, gdzie kiedyś — polańskie plemiona miały gontynę. Gruzy tej gontyny tj. starej słowiańskiej świątyni, znajdują się jeszcze na wyspie jeziora. Będzie to szczególną zasługą sztandar niemieckości zatknąć w tej okolicy, albowiem jest ona prawie wyłącznie polską, a lud nadzwyczaj wrogo dla żywiołu niemieckiego usposobiony. Dzielny szermierz Friede, znajdzie olbrzymie pole działalności, mając zwłaszcza przy boku serce niewieście, tak gorąco bijące dla idei itd. itd. Hilda kraśniała z radości, ojciec chrząkał i spluwał.

* * *

Po dwu tygodniach już Friede z córką jechał z Gniezna szosą ku Lednogórze. Oboje przejęci ważnością

chwili. Hilda przytem trochę blada, bo na kilka dni przed wyjazdem, prawdopodobnie zmęczona pospiesznem pakowaniem, zapadła na gorączkę i czuła się niezupełnie dobrze. Gwałtowne wrażenia, jakich doznawała, wstrząsały nią. Im bliżej Lednogóry, tem żywiej biło jej serce, oblewał ją żar. „To pewnie wszystko z radości“ — mówiła sobie. Po gorącu szły dreszcze. Tak, tak, to pewno z radości!...

* * *

Był dzień październikowy, ale dziwnie upalny a przytem wietrzny. Orne ziemie leżały bure i posępne. Na miedzach i po rowach, pokrytych usychającą trawą, kwiatów ani śladu. Głogi i ciernie wyciągały swe bezlistne, kolczaste, poplątane gałęzie ku jadącym, jakby ich chciały zatrzymać i nie puścić dalej..

Równiny poczęły lekko falować, stanął zatoczony w półkole szereg kopców piaszczystych, sterczących jak wielkie łyse czaszki dawnych olbrzymów. Z po za nich wyjrzała Lednica, wzburzona do dna, przewalająca z szumem fale ciemne, jak noc. Friede począł zaraz obliczać, ile mniej więcej ryb może mu przynieść jego część jeziora. Liczba wypadła duża. Spojrzał z zadowoleniem na córkę.

Dziewczyna była tak blada, takiemi wystraszonemi oczyma patrzyła na ponure tonie, że Niemiec się zdumiał.

— Ta woda taka złowroga, ojcze — wyjąkała Hilda, zakrywając oczy ręką.

— Głupstwo! — odburknął i jechali dalej.

Skręcili do wsi i zatrzymali się przed dworem. Friede promieniał! Hilda całą siłą starała się utrzymać przytomność. Gorączka wzmagała się i nagle zaświtała jej myśl, że oczarowało ją jezioro.

Mechanicznie dźwigała tłomoki; z resztek podróżnych zapasów, zastawiała ojcu posiłek. Zasiedli przy kulawym stole zapomnianym, pod jednem z okien.

Widać było ztąd wybornie konwulsyjnie przewalające się wody. Hilda nie mogła oderwać oczu od tych fal, podobnych do olbrzymich łusek lub tarczy.

Ojciec rozprawiał, układał plan jutrzejszych zajęć, ona nie rozumiała jego słów.

Zdawało jej się, że od jeziora idzie jakiś ogromny jęk, wkręca się w jej uszy, w głowie sprawia nieznośny szum, a w sercu budzi jakieś drgania nieznane

Nasłuchiwała, i od czasu do czasu podnosiła dłoń do czoła. Zdawało jej się, że ma gorączkę, ale czoło było chłodne, a ręce zimne.

Tylko wewnątrz palił ją ogień.

— Nie słyszysz, ojcze, jak coś jęczy? — spytała nagle, właśnie gdy ojrozprawiał, jak pojedzie do Klenki do Kennemanna.

— Jęczy? co jęczy? jezioro szumi. wyraźne. Z ogromnego głowiska okolonego siwym włosem pian, wychodził ryk złowieszczy. Ręce olbrzymie, to załamywały się rozpacznie, to podnosiły ku niej, zaciśnięte w groźną pięść... Dziewczyna rzuciła się w tył.

Potrąciła stół.

Brzęk spadających naczyń przy-



Głowa kobiety. (Studyum.)

Przyzwyczaisz się do tego — pocieszał Friede i wybrał się na podwórze.

Hilda została.

Otworzyła okno i wychylona zupełnie, wpatrywała się w Lednicę...

...Wszystkie marzenia o wielkich czynach dla „Wielkich Niemiec“ uleciały z jej głowy.

Nie pozostało z nich śladu.

To jezioro wydało jej się Duchem Polańskim, którego przyszła wyganiać z jego odwiecznej kolebki, gnębić, dręczyć, kaleczyć!... Czekała — rychło li z tych wód spienionych pod coraz bardziej ciemniejącem październikowem niebem, wyłoni się nagle, jakieś skrzydlate straszydło, bezbronne, a jednak potężne!

I w jednej chwili z wyobraźni podnieconej... ujrzała je! Rosło z bałwanów. Bałwany te na środku jeziora, rwane w górę jakąś tajemniczą siłą, wydłużały się, przybierały kształty wrócił jej przytomność. Wyrządzona szkoda napełniła ją żalem i gniewem. Jęła zbierać skorupy przeklinając w duchu i głośno „Polaczyznę“ i djabelskie jezioro. Ale ta chwila przytomności trwała krótko, a potem znów szum nadlatujący od wody, począł obejmować jej głowę, mącić myśli i wypędzać resztki przytomności.

Gnana nieprzepartą siłą, wdrapała się na okno, jednym susem była w ogrodzie i popędziła ścieżyną ku jezioru.

Stanęła nad samym brzegiem.

Lednica szalała. Czarne bałwany, uwieńczone pianami, umierały z szumem u jej stóp.

Widziała w każdym twarz szyderczo wykrzywioną, ocienioną burzowinami jak białym włosem, z pod którego wyzierały rozwścieklone oczy. Ze wszystkich stron wodnej płaszczyzny, leciały ku niej te istoty. Niektóre miały

oblicze pełne niewymownej boleści, inne bezsilnej wściekłości...

W żyłach Hildy każda kropla krwi stała się bryłką lodu.

Nieludzki strach przykuwał ją do miejsca. Osunęła się na mokry piasek — bezsilna.

Jezioro poczęło ją hypnotyzować.

Od miękkiego, drgającego cielska szła teraz ku niej jakaś kojąca bezwładność. Uczuła ogromne pragnienie zanurzenia się w te wody.

Tak, zanurzyć się, dotrzeć aż tam, na sam środek, gdzie teraz wysokie fale podnosiły się i opadały, harmonijnym, pieszczotliwym ruchem. Odczuwała w sobie jakąś błogość, jakieś aksamitne dotknięcia, jakieś słodkie ukołysanie, woda coraz silniej wabiła ją ku sobie.

Broniła się temu kuszącemu powabowi, czuła, że ją nęci śmierć!...

Wtem z trzciny, co zwartym lasem rosła wzdłuż jednej strony wybrzeża, wysunęło się wolno niewielkie czółenko, wlokąc za sobą łańcuch, który szamocąc się, zerwało. Podrzucane przez bałwany, biegnące ku brzegowi, płynęło prosto ku dziewczynie, i z cichym sykiem utknęło u jej stóp. Na mokrem dnie widniało wiosło.

Z oczyma utkwionemi w rozkołysaną toń Lednicy, dziewczyna skoczyła w łódkę.

O! dostać się koniecznie tam! tam! skąd szedł ku niej ten cudowny, łaskoczący nerwy czar. Chwyciła wiosło, odbiła od brzegu.

Fale obskoczyły ją ze wszystkich stron, jakby się dobijały o to, która pierwsza, która dalej ją zaniesie.

Hilda widziała coraz wyraźniej złowieszcze fale wodne. Niektóre opierały się o burty łódki i ciężyły tak silnie, że leciutka łupinka przechylała się gwałtownie i już! już! miała się przewrócić.

Wtedy Hilda rzucała się na napastnice, czuła, że uderza pięściami w chłodną, ociekającą wodą pierś. Dziwo znikało! Łódka prostowała się na chwilę, żeby znów chylić się na drugą stronę. Hildę podniecała ta walka. Głowa jej płonęła. Włosy rozplotły się, i złotemi snopami okoliły jej wyniosłą postać!... Czółno płynęło coraz ociężalej. Woda wlewała się gwałtownie.

Suknie Hildy nasiąkły wilgocią i zaczynały ciężyć jak ołów.

Wtem rozległ się w oddali przygłuszony jeszcze ryk grzmotu.

Nadciągała październikowa burza, która nad Lednicą bywa straszna.

Czarne chmurzyska rozpełzły się szybko po niebie.

Lednica poczerniała jak trup zadżumionego. Błyskawice orały ciemne pola nieba.

Hilda stała w łodzi, zupełnie już nieprzytomna. Wicher zrobił sobie żagiel z jej włosów.

O zmroku poczęły majaczyć brzegi ostrowu i ciemne gruzy pogańskiej gontyny.

Hilda nie widziała nic. Oczyma tonęła w sinych odmętach. Aż nagle olbrzymia błyskawica rozszarpała chmury i piorun trzasł tuż blisko, między krzaki ostrowu, a dziewczyna runęła na kolana.

Gwałtowny ruch przeważył łódź!...

Spienione bałwany, zamknęły się nad nieszczęśliwą!......

Kilka razy promienie jej włosów rozzłociły czarną toń.... Później wypłynął trup i osiadł na piaskach wyspy.

Opodal walały się prastare pogańskie kości. Tym kościom i trupowi Hildy, szumiało i syczało jezioro pieśń pogrzebową... cichą.... tajemniczą pieśń....

Jelita.

Owady zimowe.

Żadna chyba klasa zwierząt nie jest tak wrażliwa na zmianę temperatury jak owady. Skoro tylko nastaną chłody jesienne, natychmiast przerzedzają się i znikają zastępy tego ruchliwego społeczeństwa. Jeszcze czas jakiś krążą wysmukłe, zielone, drobne złotooki, snując się wieczorami dokoła lamp naszych, wreszcie nikną i one. Muchy w mieszkaniach stają się coraz rzadsze, dopóki nie przylgną do szyb, ścian i okienic, oplątane przez swój grzybek pasożytniczy. Pozostają przy życiu tylko karaluchy i prusaki za ciepłym piecem, w towarzystwie stonogów i pająków, kołatek w sprzętach domowych i bezskrzydłe pasożyty na ciele człowieka i zwierząt.

A na dworze pusto i głucho, i na ziemi i w wodzie, i w powietrzu. Nie spotykamy na drodze uwijających się owadów. Zapadły w sen długi i pogrążone w letargu spoczywają w głębi gleby, w mule stawów, wśród uschłych liści na ziemi, w szparach kory na pniach i gałązkach.

Pełno na ziemi gałązek większych i mniejszych po ogrodach, gajach i zaroślach, nad brzegami wód i po rowach. W czasie zalewów jesienią i wiosną woda je niesie, a opadając osadza przy brzegach, wytykając granicę, dokąd przedtem sięgała. Weźmy pęk takich gałązek, garść takich liści z pod śniegu i przynieśmy do ciepłego mieszkania. Niech sobie w słoju rozmarzną i obeschną. Nie były one widać puste, kiedy po pewnym czasie w słoju zaroi się od owadów: ukażą się chrząszczyki, pluskwy, pająki, gąsienice motyli — mieszkańce tych okolic, skąd gałązki one, aż promienie wiosennego słońca osuszą ziemię i powołają je do zajęć życiowych — żerowania i trosk rodzicielskich.

A jednak wśród tych zmarzluchów są odważne żyjątka, których nie oślepia blask śniegu i nie przeraża ślizka powłoka lodowa.

W okolicach gdzie słońce oświetla jedynie śnieg, lód i zimne skały, gdzie ledwie w południe temperatura podnosi się nieznacznie ponad zero, żyje drobne, czarne, całe kosmate zwierzątko— tak zwane „pchła lodowcowa“ (Desoria glacialis). W rzeczy samej maleńki ten, a zupełnie niedokuczliwy owadek, jak pchła skacze po śniegu. Posługuje się w tym celu ogonkiem, a raczej widełkowatym wyrostem na końcu odwłoka; podkładając go pod siebie a potem wyprężając wykonywa wielkie skoki. Przed kilkudziesięciu laty znaleziono je w Szwajcaryi na Monte Rosa, a wkrótce potem na lodowcach Unteraargletscher i innych. Nicolet poddawał je doświadczeniom: wytrzymują one wprawdzie 24 stopni Celsyusza, w wodzie, i dobrze się tam czują, a umierają dopiero przy 38 stopni Celsyusza, ale też będąc zamrożone w lodzie, trzymane przy 11 stopniach, a potem ogrzane, wcale życia nie tracą i raźno wyskakują z topniejącego lodu! Oto przykład, jak wielką zdolnością do życia bywają obdarzone niekiedy drobne i niepozorne istotki.

Podobne zjawisko obserwować możemy znacznie bliżej, bo w kraju naszym. Czasami zimą śnieg bywa jakby posypany prochem. Kiedy się zbliżamy, proch rozpryskuje się w różne strony. To pchła śniegowa (Podura nivalis). Jest ona trochę odmiennej barwy. szaro-żółta w paski czarne na grzbiecie.

Komu nie powiedzie się spotkać ich w zimie na śniegu, ten niech się postara przynajmniej znaleść pokrewne im gatunki, których u nas nie brak.

Wiosną w czasie wylewów widuje się niekiedy jakiś czarny proszek, posypany na brzegach wód; bywa od niego aż czarno, brzeg jakby ujęty został w ciemną ramę, jak gdyby ktoś rozsypał proch myśliwski wzdłuż linii wo-

dnej. Są to pchły wodne (Podura aquatica), z postaci zupełnie podobne do pchły śniegowej. Lekkie te a sprężyste istotki nie toną w wodzie, lecz skaczą odbijając się widełkami od jej powierzchni. Kiedy się rozgrzebie suche liście i gałązki, leżące po ciemnych zakątkach gajów i parków, wyskakują stamtąd podobne owadki (Podura villosa) — czerwonawo-żółte w czarne pasy i ołowiano-szare, o długich wąsach czyli czułkach i długim włosie.

Wszystkie te gatunki mają jedną postać — kosmate, o krótkich różkach, odwłoku z widełkami i sterczących czułkach, zdaleka przypominają rogatą kózkę w skoku. Są maleńkie, gdyż dochodzą ledwie do 4-ech milimetrów. Wszystkie wymagają do życia wilgoci w różnym stopniu, jeżeli nie wody, śniegu lub lodu, to przynajmniej wilgotnych szczątków roślinnych. Przemian nie odbywają wcale, skrzydeł brak im zupełnie. W systematyce zoologicznej dano im miejsce w końcu gromady Prostoskrzydłych.

Mnóstwo dziwów i niespodzianek kryje się w łonie natury!

R. W.

PATRYOTA.



Lieb Vaterland mag's ruhig sein. . . .

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 12-go marca 1582 wjazd Stefana Batorego do Rygi. — 1656 rozbicie Szwedów pod Jarosławiem.

Dnia 13-go marca 1600 wcielenie Estonii do Polski.

Dnia 14-go marca 1585 zerwanie sejmu przez Grudzińskiego i związek na króla. — 1611 Rosyanie pobici pod Smoleńskiem. — 1633 synowie Zygmunta III. składają przysięgę wierności. — 1801 śmierć Ignacego Krasickiego. — 1812 tajnym traktatem Austrya przyrzeka zwrócić zabór Polski.

Dnia 15-go marca 1034 śmierć Mieczysława II. — 1412 przymierze z Węgrami w Lubomli. — 1517 zwołany sejm do Włocławka. — 1794 powstanie jenerała Madalińskiego. — 1818 pierwszy sejm w Polsce kongresowej. — 1831 odezwa jenerała Dwernickiego do obywateli zabużańskich. — 1849 jenerał Bem zdobywa Hermanstadt.

Dnia 16-go marca 1331 Jan, król czeski, nadaje ziemię dobrzyńską Krzyżakom. — 1409 Krzyżacy wyrzynają w Wołkowysku lud zgromadzony w kościele. — 1797 wojewoda Tarło Adam ginie w pojedynku pod Marymontem.

Dnia 17-go marca 1238 śmierć Henryka Brodatego. — 1642 śmierć Józefa Zadzika, biskupa krakowskiego. — 1659 sejm nadzwyczajny w Warszawie. — 1826 śmierć Maksymiliana Ossolińskiego. — 1832 założenie towarzystwa demokratycznego polskiego.

Dnia 18-go marca 1241 klęska od Tatarów pod Chmielnikiem. — 1829 ogłoszenie wyroku sądu sejmowego.

Humor i satyra.

Proces hajdamaków czyli Heroje przed sądem.

1-szy oskarżony.

Przewod. Poczuwa się pan do winy?
Oskarż. Ni.
Przew. A pałkę pan miał?
Osk. Ni.
Przew. A inni mieli?
Osk. Nie widział.
Przew. A browning pan miał?
Osk. Ni.
Przew. A inni mieli?
Osk. Nie widział.
Przew. A barykady pan stawiał?
Osk. Ni.
Przew. A inni stawiali?
Osk. Nie widział.
Przew. A strzelał pan?
Osk. Ni.
Przew. A inni strzelali?
Osk. Nie widział.
Przew. A głowę pan miał?
Osk. Ni.
Przew. A inni mieli?
Osk. Nie widział.

2-gi oskarżony.

Przew. Poczuwa się pan do winy?
Osk. Ni.
Przew. Robiliście awantury?
Osk. Ni. To Polaki.
Przew. Ale robiliście wiec?
Osk. Ni. To pewno Polaki.
Przew. Któż strzelał?
Osk. Pewno Polaki.
Przew. Kto wybił szyby?
Osk. Także Polaki.
Przew. Kto miał pałki i browningi?
Osk. Nu, nu... Polaki.
Przew. Więc wszystko Polaki?
Osk. Otżeż to! Polaki.

Inny oskarżony.

Przew. Poczuwa się pan do winy?
Osk. Broń Boże.
Przew. A pałkę pan miał?
Osk. Niech Bóg broni.
Przew. A cóż to panu odebrano?
Osk. To była wiśniówka.
Przew. Gruba jak maczuga?
Osk. Broń Boże! Cienka.
Przew. A nóż pan miał?
Osk. Joj! Ta dzie?!
Przew. Pan noża nie używa?
Osk. Ja nawet chleb palcem kraję.
Przew. Dlaczegoż to?
Osk. Ja się boję skaleczyć.

Przew. A browning pan miał?
Osk. Ja tego nigdy nie jadam.
Przew. Pan melancholik?
Osk. A ja! melancholik.
Przew. A może idyota?
Osk. O, to, to! Tak jest! Ja idyota!

Inny oskarżony.

Przew. A po co pan szedł na uniwersytet?
Osk. Nie pamiętam!
Przew. A kto strzelał?
Osk. Nie pamiętam!
Przew. A rzucał kto polana?
Osk. Nie pamiętam!
Przew. Któż wybił szyby?
Osk. Nie pamiętam!
Przew. A pan się urodził?
Osk. Nie pamiętam!
Przew. A jadł pan kiedy co?
Osk. Nie pamiętam!

. . . .

I tak w kółko... Oto heroje godni Chmiela!

* * *

Także niespodzianka.

Pani domu. Cóż tu zaszło w czasie mej nieobecności?

Służąca. Dwie niespodzianki. Pan kazał dla pani salon cały świeżo urządzić, a wczoraj egzekutor kazał znowu meble wywieźć.

* * *

Obiecujący synalek.

Matka do swego jedynaka.

— Antosiu, ucz się! Ojciec obiecał, że jeżeli zdasz egzamin, popłaci wszystkie twoje długi.

— Co, mam się męczyć dla m ich wierzycieli? Ani myślę!

* * *

Z dziedziny kryminalistyki.

Ona: Powiadasz mecenasie, że za każdą kradzież pokutuje się pozbawieniem wolności, czy i za kradzież serca?

On: O, za tę kradzież, pokuta trwa całe życie, zwłaszcza, jeżeli po kradzieży serca następuje małżeństwo.

* * *

Wyrachowanie.

Między pannami.

— Nigdy nie wyjdę za aktora!

— Dla czego?

— Bo przywykł do scen przeróżnych i tem go już nie wzruszę!

* * *

Wymówka.

— Ładny z ciebie narzeczony, wczoraj przeszedłeś obok mnie nie widząc nawet.

— Czy nie najlepszy to dowód jak cię kocham.

— Jakto?

— Miłość mnie czyni ślepym.

SZPICLE.



Pal kaci! Spróbujemy waszych zdolności szpiegoskich. Na wszelki wypadek damy wam fałszywy znaczek agenta policyjnego!

Logicznie.

— Ciekawa rzecz, czemu ziemia, na której żyjemy, otrzymała nazwę w rodzaju żeńskim?

— Niedomyślny człowieku! Czy nie wiesz, że ziemia przynajmniej cztery razy w roku musi na równi z damami zmieniać szaty?

Dziwne czasy.



Powiedz tylko, moja kochana, co właściwie twój mąż porabia! Nie widziałam go od kilku dni!

A bo widzisz biedaczysko bierze kurs przyszywania guzików do mych spodni.

* * *

Zmowa.

— Wyobraź sobie, chorzy szpitalni na sali 10-tej zastrejkowali.

— Jakim sposobem?

— Sprzysięgli się, że badającemu ich lekarzowi nie pokażą języka!

* * *

Wszystko jedno.

— Przyszedłem prosić pana prezesa o posadę.

— Ależ, panie, ja mam i tak czterech urzędników zbytecznych.

— Tembardziej może pan prezes i mnie przyjąć. Jeden więcej, czy mniej — to już wszystko jedno!

* * *

Z filozofii zwierząt.

— Ludzie nazywają mnie głupim, bo jestem tenorem — żalił się wół.

— Cóż ze mnie za człowiek! — zawołał osieł, gdy popełnił kolosalne głupstwo.

— My we dwójkę nie dajemy ludziom spać — rzekła pluskwa do wawrzynu.

— Mam zbyt dobre serce — rzekł kot: nie mogę patrzeć na mysz w pułapce.

— Nie jestem tak bardzo niewinnym — rzekł motyl, ale kwiaty są zbyt piękne.

— Masz wprawdzie oczka, jak ja — rzekła mucha do słonia — ale masz o dwie nogi za mało, abyś mógł być muchą.

— Czego ci ludzie tak za mną gonią, skoro ja ich nie lubię — narzekał karaluch kuchenny.

— Wyrządzasz mi krzywdę — rzekła pluskwa do człowieka, — a zapominasz o tem, że dzielę z tobą moje łóżko.

* * *

Dobry sposób.

— No, ale radca Z. nie może narzekać na nasz wieczorek, przyjęliśmy go po książęcemu.

— A zkąd wziąłeś gotówkę?

— Zkąd?... Od radcy pożyczyłem.

* * *

Nie głupi.

— Jakto, pijesz pan szampana?... Lepiejbyś pan dług zapłacił!

— Akurat!... Żebyś pan pił szampana, a ja żebym się patrzał? Niema głupich!

* * *

Szczyt galanteryi.

—Nie patrz pani tak długo na te kwiaty, zbytek słońca im szkodzi.

* * *

Rozmówki na raucie.

Dama. Nie pojmuję, dlaczego panowie tylko za pięknemi przepadają kobietami?... Piękność przemija!

Pan. Ha... gdyby brzydota przemijała także, nie stronilibyśmy i od brzydkich... Ale niestety..

* * *

— Jakto? pan mi się oświadczasz z miłością, pan, znany nieprzyjaciel kobiet?

— Właśnie dlatego, łaskawa pani... bo jako chrześcijanin kocham moich nieprzyjaciół!

* * *

— O pani!... wybacz, że się ośmielam kochać cię!

— Wybaczam, ale żeby mi tego więcej nie było!

* * *

Na ulicy.

— Wiesz, mój krawiec nie chce mi robić na kredyt.

— Mój także już mi nie wierzy!

— Tak?... To pomieniajmy się na krawców i będzie nam dobrze!

* * *

Względy łagodzące.

— Podsądny, jak mogłeś sięgnąć na ulicy do kieszeni przechodnia?

— Przepraszam pana sędziego, ale jestem nie tutejszy i nie wiedziałem, że w tem mieście sięganie do cudzych kieszeni jest zwyczajem nieprzyjętym.

* * *

Okoliczność łagodząca.

— „nie chcę kłamać przed tobą, Karolu, istotnie cię zdradziłam, ale przysięgam ci, że przez cały ten czas myślałam o tobie.

ZAGADKA.

Nadesłał czytelnik „Pracy" p. Cypryan Gadomski z obczyzny.

M	a	r	a
r	z	u	t
k	a	r	y
b	r	ó	d

Pierwszą i trzecią literę w każdem z tych słów zmienić na zupełnie inną (niekoniecznie z zadania wziętą), ażeby powstały znaczenia: 1. Gatunek. 2. Pierwiastek chemiczny. 3. Okopy. 4. Miasto na Węgrzech.

Pierwsze i trzecie litery z góry czytane dadzą: Miasteczko w Galicyi i odnogę Wisły.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 16-go marca włącznie.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie szarady z nr. 9-go „Pracy":

Kameleon.

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 2-go b. m. następujące osoby:

Z Poznania: pp. Mieczysław Matuszewski, Wanda Malinowska, Józef Kędziora, Stanisława Chmarówna, Wincenta Błażejewska, Rozalia Połczyńska, Marya Tucholka i Czesław Borys.

Z prowincyi: pp. Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, Józef Czapracki z Opalenicy, Marya Emilia, stała abonentka z Inowrocławia, Marya Mądrowska i Alojzy Henke z Czarnkowa, Teodor Janiak z Kunowa w powiecie jarocińskim, Jadwiga Narowska z Niewierza, Kujawianka z pod Kruświcy, Jan Sroczyński z Czacza pod Śmiglem.

Z Prus Zachodnich: pp. Kazimierz, Helena, Walenty i Eleonora Balcersey z Wąbrzeźna, A. Galla z Subków i Wł. Czyżewski z Jażwisk.

Z Górnego Śląska: pp. Wiktor Polak i Ludwik Rosler z Bobrku, Janek z Michałkowic i Jan Badura z Roździenia.

Z Galicyi: p. Hipolit Wodecki z Ropczyc.

Z obczyzny: pani Ludwika Bock z Berlina

Nagrodę otrzymali: pp. Stanisława Chmarówna z Poznania, Teodor Janiak z Komorza i A. Galla z Subków.

NASZ KĄCIK.

Dzielny chłopiec.
(Dokończenie.)

— A kto ciebie tu wysłał — pytał Walka dalej pułkownik — byś tu szukał pomocy? Nikt mnie nie wysyłał. Tak ty sam z siebie tu przyjechał, więc ty nie taki głupi jak udajesz. A za cóż to tak nie lubisz braci naszych Kozaków, że aż ze skargą na nich przyleciałeś, ha? Oj, dobrze by ci jednak było skórę nahajką pogłaskać i rozumu do głowy napędzić, kiedy głupiego udajesz! Kręcenie ucha nie ustawało, pan naczelnik spuściwszy oczy i wzdychając skrycie stał niespokojny, Walek zagryzał usta i siłą powstrzymywał łzy, cisnące się do oczu, gdy wtem wszedł do pokoju młody i elegancki oficer.

Był to adjutant pułkownika. — Pułkownik sam chociaż nieoświecony i gburowaty, szanował młodego adjutanta za jego wysokie wykształcenie i cenił jego zdanie, a młody adjutant wywierał na niego wpływ wielki. — Młody oficer wszedłszy rzucił badawcze spojrzenie do koła i zaraz prosił o wytłomaczenie niezwykłego widoku. W kilku słowach opowiedziano mu wszystko i natychmiast sprawa przybrała nowy obrót. — Walek w dalszym ciągu nic nie rozumiał, ale gdy słuchał drgającego szlachetnem oburzeniem głosu oficera, gdy dojrzał błysk jego oczu zwróconych na pułkownika, przeczucie powiedziało mu, że młody wojskowy jest pani Maniusi i jego wybawca. — Rozmowa toczyła się szybko, pod wpływem słów adjutanta pułkownik przycichał i łagodniał i zdawało się, że zamienili role, że zwierzchnik słucha, a podwładny wydaje rozkazy, tak prędko i energicznie padały one z jego ust. Dwóch oficerów wybiegło z kancelaryi, a w kilka minut potem zadzwoniły na bruku rynku podkowy dragońskich koni i dwa oddziały z oficerami na czele stanęły w pogotowiu do drogi i zaraz wyruszyły z miasta, drogą ku N. wiodącą.

„Stupaj!“ Krzyknął pułkownik do Walka. W mgnieniu oka opuścił on ratusz, przebiegł rynek i uliczki i wpadł do zajezdnego domu. Niestety jego biedny konik był tak zmęczony, że mowy nie było, żeby mógł odbyć powrotną drogę. Walek polecił go więc opiece gospodarza, a sam przez pola i łąki najkrótszą drogą, co tchu starczyło biegł do domu. Gdy dopadł do drogi wiodącej na podwórze, wojsko już z koni zsiadało. — Tu i owdzie leżeli na dworze, w ogrodzie i na podwórzu pijani i nieprzytomni Kozacy. Z otwartych beczułek sączyły się powoli strumienie nie wypitej jeszcze okowity. — Oficerowie kazali swym podkomendnym zatrzymać się na dworze, sami zaś weszli do pokoju, a obawiając się nieposłuszeństwa pijanej zgrai, broń trzymali w pogotowiu. — Na środku pokoju leżała na podłodze bona Maniusi, panna służąca i pokojówka; Kozacy stojąc nad niemi i zachęcając się wzajem dzikimi krzykami, siekli je nahajkami tak, że aż krew bryzgała. Pani domu pod strażą dwóch żołnierzy stała blada jak śmierć, wtulona w kąt pokoju, a na jej rękach Maniusia zanosiła się od płaczu i wiła w kurczowem łkaniu. — Wejścia oficerów nikt w pierwszej chwili nie zauważył, dopiero, gdy z ich ust zaczął się sypać na głowy Kozaków grad wyzwisk i przekleństw, gdy przed ich oczami błysnęli nagą szpadą, na Kozaków padł popłoch, pijani oprzytomnieli prawie od razu, puścili swoje ofiary, wyprostowani, z zadartemi głowami i rękami opuszczonemi stanęli w szeregu. — Żołnierze pozostawieni na dworze równie szybko prawie załatwili się z drugimi Kozakami: Kubły zimnej wody budziły ich z pijanych snów. — Nie stawiając oporu oficerom, Kozacy wobec nich pokorni i potulni, oprzytomnieli prędko i wkrótce wszyscy razem opuścili dwór w N. Teraz Walek niespokojny wbiegł do pokoju. Meble poniszczone, sprzęty potrzaskane, służba zbita i spłakana, ale pani i Maniusia na szczęście całe i nieruszone. — Walek odetchnął pełną piersią, więc się nie spóźniłem, pomyślał z ulgą. — Walku, zawołała pani, zobaczywszy go, czy tobie krzywdy nie zrobili i czy nie wiesz jakiemu cudowi zawdzięczamy przybycie tu w tej okropnej chwili dragonów, którzy nas ocalili? Walek w prostych słowach opowiedział swą wyprawę do miasteczka. — Ach, więc to tobie zawdzięczamy ocalenie! zawołała pani, tuląc głowę chłopca do piersi i łza wzruszenia spadła na jego jasną czuprynę. Bóg ci zapłać dzielny chłopcze, zawdzięczamy ci bardzo, bardzo wiele! — A toć ja spełniłem tylko rozkaz dziadusia, by naszej pani i panienki strzedz jak oka w głowie. Odtąd przydomek: „Dzielny chłopiec“ przyrósł do Walka i zawsze wszyscy tak go nazywali.

Paula Wężyk.

* * *

Małe gospodarstwo.

Mam dwie kurki czubatki
I gołąbki dwa białe
I kanarka wśród klatki,
Gospodarstwo mam całe.
Mam doniczki z kwiatkami,
Różne, śliczne mam zielę
I własnemi rączkami
Je podlewam i pelę.
I Mruczucia mam, kotka,
Pieska Burka, on służy,
Przy nim nic mnie nie spotka,
Bo on mocny i duży.
A kto zajrzy przez szybki
Do naszego pokoju,
Dojrzy złote dwie rybki,
Co się pluszczą wciąż w słoju.
Oj, to kłopot nie mały
Z całą taką gromadką,
Ale z duszy mej całej
Lubię małe me stadko.

P. W.

* * *

Odpowiedź na listy.

Zygmuś i Zbyszek Czechowscy w Proszyskach. Bardzo mnie wasze liściki ucieszyły. Powiastka „Dzielny chłopiec“ już skończona, ale myślę, że i inne wam się spodobają. Zbyszek jest widocznie bardzo pilnym chłopczykiem, skoro licząc zaledwie pięć i pół latek już tak ładnie ołówkiem pisze, witam cię mój mały, bo jesteś pewnie najmłodszym moim czytelnikiem. Przesyłam wam kochane chłopczyki serdecznego całuska. *P. W.*

* * *

Rozwiązanie zagadki:

Stwórca — Bóg, rzeka — Bug, miasteczko — Buk i drzewo — buk, (patrz „Nasz kącik“ w ostatnim numerze) nadesłała także siedmioletnia Mania Staśkiewicz z Gostynia. Liścik jej bardzo się nam podobał; poprzednio wysłana karta pocztowa widocznie zaginęła. Nagroda za rozwiązanie tej zagadki nie była wyznaczona, więc nikt jej nie otrzymał.

* * *

Poprawka błędów w liścikach z rozwiązaniem ostatniej zagadki. Moje drogie dzieci starają się widocznie dobrze pisać, bo błędów nie było wiele — więc: *Uczeń*, a nie uczyń. Szkoły *ludowej*, a nie ludowy. *Na drugi raz*, albo *drugim razem*, a nie *drugą razą*. *Chociaż*, a nie chociasz. Wogóle jeśli za *c, s, n*, następuje *i*, wtedy nad temi literami ogonki są zbyteczne, bo *i* dostatecznie je zmiękcza. Całuje wszystkie drogie dzieci ich przyjaciółka

Paula Wężyk.

KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

26)

(Ciąg dalszy).

Gdy potem szarpnęło mu się jeszcze serce, widząc jak p. Wanda gra z margrabią Buiccioli w różę, którą mu nakoniec wziąć pozwoliła, było to już tylko pokutująca jeszcze w nim namiętność, która wzburzyła mu krew w żyłach. Dlatego uciekając od widoku, który go rozdrażniał, od myśli, która nim targała, rzucił się do zielonego stolika, do gry hazardownej, gdzie nie trzeba przecież mówić, że popchnęła go miłość, to jest jej treść i istota rzeczywista — uczucie kochające. Popędził go tam instynktownie gwałt namiętności, aby jedna zluzowała się przez drugą. Nigdy ludzie nieszczęśliwi przez uczucie nie zostają graczami, pijakami, hulakami szalonymi — nie!... Czasem pęka takim serce, mózg: waryują, umierają śmiercią nagłą, albo przeżywszy w jednej chwili pół żywota, starzeją się od razu i siwieją przez noc jedną, ale nie ciskają się nigdy w roztopiony ołów szału. Jest to rozpaczna sprawa namiętności, która wybija klin klinem.

Jan, przeskoczył tę próbę ogniową, jak ptak przelatujący przez płomienie, ale na drugiej zaraz stronie stanął oprzytomniony właśnie blizną oparzelizny, której doznał. Wciągnął powietrze w płuca i zawołał: — A gdzie jest moja wola kamienna? Powiedział sobie, że musi ją odzyskać i postanowił też załatwić się zaraz, jeszcze w cieniach kończącej się doby feralnej z tem, co było ciągnącym się łańcuchom słabości minionej, i dlatego poszedł pożegnać p. Wandę.

— Drogi nasze rozeszły się... powiedział sobie z goryczą, zostawiając ją raz w tyle po za sobą — nie możemy już odtąd iść razem...

Nie przespawszy się ani chwili, wydał rozporządzenia gospodarskie, i przed godziną dziesiątą kazał założyć konie do bryczki. Władysław nie był u rodziców w święta, bo p. Władysławowa była słaba i nie wyjeżdżała z domu, on więc pojechał do brata, aby się dowiedzieć o zdrowiu bratowej.

Gdy wkrótce potem przyjechał z Podlesia dworski z listem, zapraszającym na obiad, odpowiedział tylko Marcinek, że pana nie ma w domu.

Pani Władysławowa była istotnie słaba, przytem jak to lubią niekiedy młode panie, dla których choroba jest nowością, chciała się trochę popieścić, trochę pozować na cierpienie co dzień to w innym negliżyku. Kochany Władzio został też wezwany na romansową służbę i jak w miesiącu miodowym trzymano go czule przy sobie, a gdy jeszcze Jan przyjechał, pani Emilia, której wcale ładnie było w białym czepeczku, bardzo wdzięcznie podziękowała szwagierkowi za troskliwość o jej zdrowie. Szwagierek posunął też nadspodziewaną galanteryą tak daleko, że pozostał na cały dzień, zanocował nawet, a co więcej oświadczył, że pojedzie za Władysława do Warszawy. Pani prezesowa miała jako pozostałość z dawnych interesów warszawskich, jakiś dworek w okolicach rogatek Wolskich i wypuszczała go zawsze w kilkoletnią dzierżawę, lecz dzierżawca zmarł teraz nagle i wypadało tam zajrzeć koniecznie. Władysław się wybierał, rad może swobodnej przejażdżce na dni kilka, gdy pani Emilia zasłabła i nie chciała puścić męża od siebie. Za pierwszem usłyszanem słowem, Jan oświadczył gotowość jazdy, powiedział, że ma zarazem własny interes do załatwienia, że chce obejrzyć siewnik nowy i zaraz na drugi dzień pojechał, zostawiwszy na dni dziesięć dyspozycye gospodarskie. Rodzice trochę zadziwili się temu wyjazdowi nagłemu, który u Jana, kamieniem siedzącego w domu był nadzwyczajnością, i p. Piotr zawołał: — A po co kochasiu? ale Jan nabył takiej już powagi, nawet wobec rodziców, że go badać szczegółowo nieśmiano.

— Jedź z Bogiem a wracaj zdrowo — powiedział mu więc ojciec, żegnając go wieczorem, a na drugi dzień rano pojechał.

Było to w czwartek, a tak się złożyło szczególnie, że tego dnia właśnie przyjechał znowu dworski z Podlesia z listem i znowu usłyszał, że pana w domu nie ma. Nie zastał go już choć przyjechał wcześnie bardzo, bo przed ósmą jeszcze, ale Jan wyjechał niemal o wschodzie słońca, i chłopak, któremu kazano oddać list „do rąk własnych“ drapał się w głowę co ma zrobić? Zostawił przecież mały, elegancki bilecik Marcinkowi, który go panu na biórko położył.

Był pisany ręką Wandy i kto wie czy p. Podleska wiedziała o nim. Nie było w nim przecież tajemnicy żadnej, a nawet zaczynał się od tego: — Wyręczając mamę... Cały też był trzymany w spokojnym tonie dobrej zażyłości sąsiedzkiej a zawierał głównie zaprosiny znowu. — Tak pan gospodarujesz zawzięcie po wypoczynku świątecznym, żeś zapomniał o sąsiedzkiej uprzejmości — pisała p. Wanda drobniuchnym maczkiem. — Przypominam ją więc panu, przypominam, że mamy gości rodzaju męzkiego, więc trudnych do długiego bawienia dla kobiet. Pan jesteś najbliższy nasz sąsiad i powinieneś przyjąć na siebie pół ciężaru. Proszę się nie wyłamywać z powinności.... Przyjeżdżaj pan, a może da się ułożyć jakieś małe polowanie, na którem wziąłbyś pan łaskawie rolę gospodarza. Przyjeżdżaj pan — kończyło się już u samego dołu małej karteczki — bo proszę o to i czekam....

— Czekam!.... powtórzyła p. Wanda na różku samym i ledwo już zmieściła pod spodem podpis: Wanda... Gdy to pisała, serce biło jej w piersi bardzo mocno. Pisząc: czekam! doświadczała rzeczywiście wielkiego uczucia tesknoty i mimowolnego niepokoju. Niespodziewała się, nie mogła przy swoich wyobrażeniach o miłości spodziewać się tego, co Jan nosił teraz w sercu, przecież niepokoił ja jakiś rodzaj przeczucia niewytłumaczonego, a choć gwałtowne

usunięcie się Jana brała za dąsy zazdrosne, niemniej nie mogła się oprzeć dziwnie smutnemu rozdraźnieniu, które ją wprawiało w stan niespokojnego wzruszenia. Włocha trzymała tymczasem jak ptaka uwiązanego na nitce, uśmiechając się doń, a nie dając mu nigdy dojść do szczerego uczuć wybuchu i uciekając od niego, wymykając mu się filuternie, gdy spostrzegła, że chce przemówić wyraźnie, coby musiało pociągnąć za sobą wyraźną też odpowiedź. On brał to już przecież za figlarną tylko grę pustej dziewczyny i nie naglił bardzo, bo lubował się w tej rozkosznej kołysance, w którą wprawiała go czarodziejka, w tem zalotnem przyciąganiu i odpychaniu znowu, aby przyciągnąć za chwilę. Ona zaś postępowała tak trochę z planu, a trochę z mimowolnej żyłki kokieteryjnej; czasem ją pypychał naprzód jakiś szatanik, dla niej samej nieznany, którego miała w sobie schowanego; czasem chciała trzymać rzecz nierozstrzygniętą, aż do chwili ujrzenia Jana. Postanowiła raz jeszcze wprawić go w zazdrość namiętną, i dopiero nagłym zwrotem otworzyć mu niebo szczęścia. „Niebo szczęścia" było jej własnem wyrażeniem, które pochwyciwszy zapewne w jakim szalonym romansie francuskim, przyswoiła sobie i powtarzała teraz w myśli, układając scenę, wśród której owa furtka niebiańska miała się rozemknąć przed Janem. Marzyła, płonąc przytem sama rumieńcami gorącemi, drżąc szczerem wzruszeniem. — O! wtedy, wtedy mój dziwak zapomni, że ma mnie niechcieć.... mówiła sobie pewna swego. — Padnie mi do kolan w zachwycie gwałtownym i rad nierad zostanie moim na wieki! — Moim niewolnikiem... dodawała uśmiechnięta i marzyła.

Przecież coś ją nurtowało, coś jej niepokoiło serce. We wtorek jeszcze rozśmiała się z wyjazdu Jana do Wronek, i nazwała to ucieczką zazdrośnika, w środę czekała tego zazdrośnika nieustannie, wyobrażając sobie, jak zjawi się posępny, lecz w czwartek już napisała bilecik. Czyniąc to, odstępowała od zasady, od planu nakreślonego, ale to co dręczyło jej serce było silniejszem, niż postanowienia wszystkie. — Źle robię — myślała — pozwalam mu brać górę nad sobą, ale trudna rada... nie mogę wytrzymać dłużej w takim stanie, nie chcę się tak męczyć próżno. Odda mi za to wszystko, gdy go tu raz dostanę, ale teraz muszę go mieć, bo zaczynam tracić krew zimną.

Napisała, posłała kartkę i dostała znowu odpowiedź, że go nie ma w domu. Posłaniec, biedny Mazur, patrzący na świat dużemi siwemi oczyma niby melancholijnie, niby gamoniowato, nie dowiedział się gdzie Jan pojechał, ani kiedy wraca? Wanda nie wiedziała zatem czy zniknął tak gdzieś od pierwszej zaraz chwili, czy może chował się tylko przed nią? Ale to drugie przypuszczenie było niemożliwe na wsi, gdzieby postępek taki rozgłoszony mimowoli przez służbę, wziętoby zaraz na języki i komentarze. Wanda też razem gniewna i zaniepokojona łamała głowę, gdzie się podział? — Nie ucieczе mi przecież na koniec świata, nie frunie nigdzie, bo Kamienna Wola ciąży mu u skrzydeł — pocieszała się i czekała znowu, kaprysząc i fantazyjując już na prawdę z margrabią; czekała przez czwartek, przez sobotę do zmroku późnego, aż tym zmrokiem powzięła postanowienie nagłe napisania jeszcze raz, napisania już otwarciej, już czegoś więcej. — Jestem słaba — mówiła sobie, przecież o szarej godzinie uciekła od Włocha do swego pokoju, postawiła Kasię na straży i napisała znowu karteczkę maleńką, którą Kuba powiózł jak poprzednio, otrzymawszy z rąk Kasi z przykazaniem takiem: — Starsza pani kazała ci się spieszyć...

— Panie Janie — pisała w niej szalona dziewczyna z gorącemi na policzkach plamami — co to znaczy?... Gdzie pan przebywasz, co robisz? Nie przyjeżdżasz choć piszę do pana — czegom może robić nie powinna, a jednak robię, bo chcę pana widzieć, chcę pana zobaczyć jak najprędzej. O! pan może niewiesz, jaka to chwila ważna! pan może tego nie przypuszczasz!.... Ale proszę pana, żądam tego od pana, chcę, abyś przyjechał zaraz, natychmiast, dziś jeszcze....

Nie przyjechał, bo go nie było. Marcinek położył mu na biurku drugi list p. Wandy i znalazł oba za powrotem — w czwartek drugiego tygodnia.

Miał wrócić za dni dziesięć, ale wrócił za tydzień, późno w nocy, nie wstępując więc do rodziców i dom ich mijając. Zaspany Marcinek, którego niespodziewane stukanie do chaty w lesie z najlepszego snu zbudziło, zerwał się desperując, że nie ma dla pana nic przygotowanego do herbaty — Myśmy się pana spodziewali koło niedzieli... mówił, nie mogąc się uspokoić na tę myśl, że może ofiarować Janowi tylko chleb i ser na przekąskę — i panna Jadwiga tak mówiła, i karbowy...

Jan się zaczerwienił, aż po oczy na to dowodzenie niewinne, że wrócił wcześniej jak zamierzał, patrzył przytem szczególnym wzrokiem na chłopca, gdy się ten koło niego uwijał i kilkakrotnie usta otwierał, aby je zamknąć znowu, aż naraz zapytał: co tu słychać?

— Nic proszę pana — odpowiedziano. — Starszy pan pilnował gospodarstwa, panna Jadwiga kazała zasadzić kwiatowych flanców i koło ganeczka zrobić darniową kanapkę pod sosną. Z Podlesia są dwa listy...

Jan przeczytał natychmiast oba listy stojąc, jak ktoś, kto ma uciekać, kto niema czasu siąść spokojnie; przeczytał je i załamał prawie ręce z rozpaczą. — Czego ta dziewczyna chce? zawołał — co ta dziewczyna myśli? Igra ze mną, jak kot z myszą?...

— Czy ona kocha jednak? dodał, a płomień uderzył mu do twarzy, ale i rumieniec i wzruszenie zdawało się przemykać po nim tylko jak po posągu.

— To powinno mi być wszystko jedno — rzekł — jeżeli kocha, to źle! płocho! lekkomyślnie, tak ja kochanym być nie chcę... nie mogę!...

Złożył oba listy spokojnie, wypił podaną właśnie herbatę, przyczem Marcinek robił sobie w myśli uwagę, że pan pije na gwałt ukrop, który mu pewno usta poparzy, pan ten przecież nie skarżył się na nic i tylko rzucił się co prędzej na łóżko.

Czy spał, czy Jan spał choć noc jednę od owej nocy świątecznej, którą nazwał feralną? w Warszawie trzeszczało pod nim łóżko hotelowe, ale dziś leżał spokojnie jak posąg — spokojnie jak człowiek śmiertelnie smutny. — O! dla czego ona nie umie kochać dobrze! szeptała w nim do dnia białego żałość smętna — dlaczego, mój Boże! dlaczego?

I patrzył żałośnie na gwiazdy, widział jak zachodziły, bladły i usnął dopiero o brzasku dnia szarym. On, gospodarz na dorobku, powinien się był porwać na nogi mało co później, jak zasypiał teraz i miał też słuszność za sobą, wołając, że p. Wanda źle kocha. Zła jest miłość, która wnosi w nas rozstrój boleśny, która szarpie i rozrywa. Miłość taka nic nie daje, a Jan czuł aż na zbyt, co odbiera... Dziś zabrała mu na sen leniwy rano dnia, który powinien był być w całości pracowitym.

Marcinek dostrzegłszy, że pan zaspał i myśląc sobie, że po podróży wypocząć mu się godziło, chodził koło domu na palcach i troskliwie przymknął okiennice, których Jan

nigdy u siebie zamykać nie kazał. To też aż mu się potem na przebudzenie pana czekać znudziło i samowar nastawiony trzykrotnie zagasł, nim Jan ciężkie powieki otworzył.

— A!... zawołał — pięknie zaczynam dzień, który zamierzyłem zrobić pierwszym dniem powrotu do życia dawnego.

— Kamienna wola... szepnął sobie z ironią nad sobą samym.

I powoli wstawał, ubierał się, pił śniadanie, teraz już nie parząc się warem. „Pierwszy dzień powrotu do życia dawnego“ jest trudnym nawet temu, który Kamienną Wolę posiada, trudniejszym może od dnia, który kończy to życie, co się przerwać powinno. Związać dwa końce życia po przerwaniu takiem — o! najboleśniejsza to sztuka mądrości ludzkiej...

Już było koło dziewiątej, gdy Jan jeszcze siedział przy śniadaniu, przy wystygłej szklance herbaty, przy nadgryzionym kawałku bułki, którą mu Marcinek już sprowadził i teraz pod rękę podsunął. Przeglądał gazety, które jak listy p. Wandy nagromadzały mu się na biurku w czasie niebytności. Przeglądał: czytał wiadomości, które już wiedział, doniesienia, których znać nie potrzebował. Trzeba mu było tych wiadomości znanych, tych doniesień nie potrzebnych — trzeba mu było leniwego siedzenia przy stole.

Ale naraz musiał się zerwać prędko, a zerwał się zadziwiony niespodziewaną zgoła wizytą. Przyjechał p. Paweł ze Smardzewa i choć wchodząc zawołał wesoło: — A tuś mi zbiegu!... Jana coś niespokojnie chwyciło za serce. Nad zwyczaj swój zaczął przyjmować gościa z uprzejmością kłopotliwą, wołał na Marcinka, aby podał jakieś śniadanie, pytał p. Pawła co pozwoli? aż mu ten powiedział, że chce tylko rozmowy z nim nieprzerywanej kręceniem się służącego. Wyprosił też za drzwi Marcinka, który coś wnosił na tacy, posadził zmieszanego Jana przy stole i sam zasiadł obok.

— Mam do ciebie interes chłopcze kochany — rzekł uśmiechając się przecież dobrotliwie, aby nie straszyć powagą — taki interes ważny, żem cię aż szpiegować kazał. Dałem dwuzłotówkę twemu polowemu, aby mi dał natychmiast znać, skoro przyjedziesz i oto jestem, łapiąc cię naraz przy łóżku.

Jan się czerwienił, ale zbladł nagle, gdy p. Paweł, rzekł mu naraz.

— Przyjeżdżam tu do ciebie w swaty, w dziewosłęby, tylko wywróciłem podszewką na wierzch swatowską moją czamarę. Przyjeżdżam do ciebie mój kawalerze, od panny...

Jan się poderwał, ale go p. Paweł znowu na krześle posadził i już poważnie, bez żartów powiedział mu, że jako opiekun p. Wandy przyjeżdża do niego z propozycyą małżeństwa. — Przyjeżdżam notabene od niej samej — dodał — dziewczyna cię kocha niezmiernie, a rozżalona jest razem na ciebie. Powiada, że jej nie chcesz, płacze nad tem gorącemi łzami, bo z drugiej strony jest konkurent inny, za którego matka ją pcha gwałtem... Wiesz przecież: hrabia jakiś włoski.

— Niech idzie za niego — rzekł Jan dziwnie seryo — matka ma słuszność, że tego chce. Jest to partya stósowna... stósowniejsza, niż ja.

— A... zawołał p. Paweł — wychodzi szydło z worka i Wanda ma słuszność... Nie chcesz jej, boś dumny nad miarę i jej posag cię odstrasza. Pięknie to z twojej strony, chwalebnie bardzo, że nie chcesz pójść na łaskawy chleb żony, jak mówiąc między nami stało się z nieborakiem Władysiem, ale z tobą rzecz wcale różna. Ty sobie i bez wziątku żony dasz radę... Ludzie to wiedzą, ludzie cię już poznali i cenić umieją. Nikt cię nie posądzi o spekulacyę.

Jan blady patrzył na p. Pawła szeroko otwartemi oczyma. W duszy mu walczyła potrzeba wypowiedzenia prawdy, z przykrością wypowiedzenia tego, co musiałoby być oskarżeniem. — No, i cóż ty chłopcze? zapytał p. Paweł patrząc mu w oczy — milczysz... Wanda zdaje się to wiedzieć z pewnością i zaręcza z uniesieniem, że ją kochasz.

— Nie! zawołał Jan podrywając się teraz z miejsca też z uniesieniem i stając nad p. Pawłem sztywno wyprostowany — nie..., już dziś nie kocham!

Wymówił te słowa takim głosem, wyrzucił je z piersi z boleścią taką ogromną, że trzeba było tak nieobserwacyjnej jak p. Paweł osoby, aby nie poznać, że przemówienie takie jest cięższej boleśnem niż jęk najrykliwszy. — Nie kochasz już... powtórzył wstając też za Janem — już nie kochasz... A to mój chłopcze zła racya.... u nas tak dawniej nie bywało.... u nas tak się nie robiło, jeszcze z dziewczyną bez ojca. Kto kochał i rozkochał, to już stałym być musiał... To tak lekko nie szło u nas.

Jan wyprostował się jeszcze bardziej, jak gdyby chciał urość jeszcze. — A kobiety jak u nas kochały? zapytał p. Pawła prawie groźno. — Czy ich miłości wolno było bujać lekko, nierozsądnie, niestale? Czy wolno było ich miłości chwytać serce męzkie na zabawkę i podrzucać niem jak piłką.

— A... A!... zawołał p. Paweł — jegomość dobrodziej jest zazdrośnikiem!... Dziewczyna cię zna na wylot, bo uprzedziła mnie i o tem. Włoch źgnął cię kolką w serce.

— Nie — odparł Jan surowo — nie Włoch, ale ona... Nie przeczę i nie zapieram się bynajmniej, żem przeszedł przez torturę, przez piekło zazdrości... Ona o tem wie... a czy wie o tem, że ta zazdrość moja to oskarżenie jej ciężkie wobec mego uczucia co ją uwielbiało, wobec mego serca, które targała, szarpała, dręczyła bez litości i sumienia. O! com ja przecierpiał, com ja zniósł przez nią — zawołał zapalając się już teraz i puszczając wodze wzruszeniu, w którem wyrzucił z piersi całą długą litanię przejść, w krótkim czasie kilkunastu tygodni przeżytych. P. Paweł teraz siadł, a on wciąż stał przed nim i mówił... mówił... Opowiadał jak z dawnej współdziecinnej sympatyi urodziła mu się w piersi miłość, jak z nią walczył zrazu i chciał zatłumić, ale Wanda nie dopuściła mu tego, aż zwyciężony, kochający, ubóstwiający prawie zdał się na łaskę i niełaskę uczucia swego, nie liczył się już ze względem żadnym na siebie i chciał tylko liczyć się z jej szczęściem — poznać czy je zapewnić może? — Ona była mi droższą, niż ja sam sobie — mówił rozrzewniony wspomnieniem uczuć własnych — była mi drogą więcej, niż zwykła kochanka kochankowi. Powiedziałeś mi pan, że ona niema ojca, o! ona niema matki pod względem pewnym i ja rozbudziłem też w sobie dla niej czułość ojcowską, tkliwość macierzyńską, chciałem z nią postępować jak z gołąbką białą, jak z aniołem, któryby schodził ku mnie z obłoku. Nie śmiałem uścisnąć jej rączki malutkiej, spojrzeć jej w oczy goręcej zanim przetrawię w myśli mojej wątpliwości wszystkie, zanim przekonam się, czy wyjście za mnie niebogatego, a surowo obowiązki życia pojmującego człowieka, może być dla niej dobrem? Ją może zepsuł zły kierunek, świat wielki, ludzie, którzy ją rozbawili, obudzili zamiłowanie zbytku, mój stan przechodzącego, ale jak bądź to się stało, było niemniej faktem, że życie wśród mego skromnego domu, obok moich rodziców i siostry, z którymi rozdzielić się nie mogę, mogło nie być życiem dla niej odpowiedniem, uszczęśliwić ją mogącem. Więc namyślałem się, ważyłem, aż naraz ona lekkomyślna rzuca mi wyzwanie, że

mnie złamie, że mi odbierze wolę, że mnie porwie i zaprowadzi, gdzie chce gwałtem namiętności, którą przez siłę wdzięków swych rozbudzić we mnie zapragnęła.

— Oh! zawołał w nagłym zwrocie goryczy pełnym — było to może dla tego jedynie, żem się opierał, a ona pyszna zwyciężyć chciała, bo na drugi dzień, zanim upłynęło dwadzieścia cztery godzin od chwili, w której wprawiła mnie w szał, upoiła nektarem zatrutym, roztaczała w oczach moich sidła takich samych niemal ponęt dla tego człowieka, który za nią gonił z końca świata, bo z nim widać robiła to samo, co ze mną... Zarzuciła pętlę na serce i ciągnęła, ciągnęła niemiłosiernie choćby czuła, że łup się dusi...

— Hm... szepnął p. Paweł zmieszany. — Może jest i racyi trochę, że ją zepsuła matka próżna, świat nie nasz, ale tandem tedy kocha cię więcej, niż tamtego, bo go nie chce, a do ciebie biedactwo samo biegnie.

— Może, że się opieram?... powtórzył Jan z boleścią gorzką.

Nastąpiła chwila milczenia, bo dziewosłęb został zbity z toru, przecież po pewnym czasie wrócił do zadania, za którem przyjechał. Zaczął znów kłaść nacisk na miłość Wandy. Powiedział, że Włoch dostał stanowczego kosza, że go już zapewne w Podlesiu niema, bo Wanda w poniedziałek jeszcze dała mu odprawę, a gdy matka zaczęła ją męczyć i zmuszać do cofnięcia się, zrozpaczona uciekła jej cichaczem z domu, wzywając jego opieki. — A gdybyś ją Jasiu kochany, widział był wtedy — dodał swat biedny — gdybyś widział, jak rozpacznie uciekała od tego grafa, choć to podobno magnat, a też nie brzydki i nie stary... Kocha cię, powiadam... kocha szalenie...

— Szalenie — rzekł Jan smutno — szalenie... I zaczęła też od tego, aby i mnie wprawić w szał, wytrącić z gruntu moich zasad, zrobić nieodpowiadającym za siebie, nierządzącym sobą człowiekiem. I do pewnego stopnia udało jej się dopiąć tego: dla niej i przez nią straciłem nagle rozum, rozwagę, pojęcie obowiązków moich. Czy pan wiesz, że byłem przez pół nocy szulerem, który przegrał nie swoje, ale rodzicielskie pieniądze, że potem dostałem przy zielonym stoliku policzek zniewagi, rozmyślnie mi wymierzonej i przyjąłem ją, musiałem przyjąć, bo mi ją dano słusznie, sprawiedliwie, należnie. I to były owoce tej jej miłości, to były jej sprawy... I mamże wziąć tę miłość na szczęście mego całego życia, na podstawę moich rodzinnych obowiązków? Powiedz pan, czybyś spokojnie radził to synowi twemu, czy radzisz to mnie, pytającemu ci się o radę, jak starego przyjaciela mego ojca...

P. Paweł kręcił się na stołku, a Jan chwycił go za rękę. — A jeżeli Wanda będzie chciała odemnie miłości szalonej również i zechce mnie często wprawiać w szały podobne tym, które przeszedłem? Niech tylko trzy razy na rok wychylę nierozważnie dwa kieliszki zanadto starego węgrzyna, niech trzy razy na rok siądę do dyabełka i przegram mą duszę ze wstawką grosza, nie należącego do mnie? Bo i mężowie bywać mogą zazdrośni — dodał z goryczą — i mężatki mogą kokietować...

— Jasiu kochany... szepnął p. Paweł — sakrament odmienia...

— Czy jest sakrament dla zalotnicy? zapytał Jan, wracając nagle do surowości dawnej. O stary przyjacielu mego ojca — dodał ze łzami niemal w oczach — nie pytaj ty mnie raz wtóry, czy Wanda się nie myli, i czy ja ją kochałem, czy nie kocham jeszcze czemś, co jest nawyknieniem serca, nie mogącego wyrwać odrazu wszystkich korzeni miłości? Słuchaj tego tylko, że ja już nie mogę wierzyć jej miłości, uczuciu, które ona zwie kochaniem. O, nie zapomnę ja nigdy jej oczu, które w przeciągu dwóch dni spojrzały na dwóch jednakowem niemal spojrzeniem... Nie zapomnę tego nigdy! nigdy!... i mimowoli, mimo chęci, mimo najwyższego pragnienia nie zapomniałbym tego w chwili przysięgi ślubnej, pamiętałbym o tem przy pierwszym pocałunku żony mojej... Pamiętałbym... pamiętał i topiąc sobie paznogcie w piersi, pytałbym się siebie: — A teraz czy to nie jest też sztuka?...

— Mógłbym oszaleć naprawdę z miłości dla takiej kobiety — zawołał nagle wybuchając — mógłbym stać się nietylko pijakiem i graczem, ale waryatem, bo ja tylko po wierzchu jestem taki spokojny i lodowaty. Ja jestem cicha woda, która rwie brzegi, jestem człowiek namiętny, który nie może łączyć losów swoich z zalotnicą!...

Pan Paweł zaczął coś skrobać nożem po stole. Miał oczy spuszczone na dół, jak gdyby nie wiedział, jak je podnieść na Jana. — Hm... hm... odkrząkiwał, aż po chwili Jan uspokoiwszy, a raczej wepchnąwszy sobie gwałtem w pierś wzruszenie, które się z niej wylało jak lawa, posunął krzesło i znów siadł przy stole. — Mnie potrzeba żony innej — mówił — kobiety kochającej inaczej... Kochającej tak, jak matka moja, jak wogóle dawne kobiety nasze: najpierw słodko, łagodnie, anielsko, bo to wdzięk przyrodzony kobiet naszych — potem skromnie i dziewiczo, bo to znów cnota ich przyrodzona, a za nią i cnota nasza. My wogóle mamy serca za gorące na kochanie się z galanteryą, ze spojrzeniami z pod wachlarzy, z grą w róże. Małżeństwo nasze bywało dotąd sakramentem i miłość nasza sakramentalną być musi:- musi działać nam na dusze jak sakrament — sprowadzać na serca stan łaski bożej... O! gdyby Wanda tak była kochać umiała!... gdyby nie była zagubiła w sobie miłości takiej pojęcia!... Ja nie chcę niuni i lalki woskowej, która niebieskie oczki podnosi i spuszcza jak na rozkaz, której serce nie może uderzyć wielką siłą uczucia gorącego, nie może się dać porwać uczucia tego porywem wielkim, i w chwili potrzeby jakiejś wielkiej nie umie wydobyć sobie z piersi płomienia ognistego, w którym spłonąłby konwenans i powijak etykiety. O!... mnie nie chodzi o te paski ciasne, o szranki ceremoniału duszne! — Mnie chodzi o rzeczywisty ten kwiat dziewiczości, którego nie ma kokieta: o wstydliwość, którą ledwo gwałt miłości zwycięża, o godność, której miłość prawdziwa nigdy nie odbiera. Wanda chciała złamać przeszkody, które nas dzieliły: moją dumę, jak przypuszczała... O! czemuż nie przystąpiła do mnie przybrana w najwyższe piękno i najwyższy majestat uczucia prawdziwego i nie rzekła mi, dostojna przez miłość czystą i głęboką: kocham cię i chcę być twoją, boś ty został wybrany przez serce moje na jego ukochanie najwyższe! Mogła tak zrobić, mogła, a jabym jej padł wtedy do nóg, zwyciężony przez siłę inną niż ta, którą budzi spojrzenie, rzucone, aby zatlić w piersi męzkiej zarzewie namiętności, przez siłę mniej, niż szalony walec i podanie się leniwe w ramiona. Wanda tak chciała walczyć i nie zwalczyła... przeszedłem przez piekło płomieniste, alem się zdołał wybawić z niego... Wiem teraz jak to można być słabym i waruję się przeciw temu... Zrywam z tą, która mogła być przy piersi mojej, jak pokuszenie jej wieczne — rozstaję się z nią na zawsze...

— Rozstaję się! powtórzył — podnosząc się znowu, ale teraz w jakiejś powadze stanowczej, która sprawiła, że i p. Paweł wstał za nim. — Czy to twoje słowo ostatnie? zapytał smutny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jan Ramzau.

ROMANS MARYNI.

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Drukowana w popisowym numerze popularnego czasopisma „Touche à Tout.“

26) PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU.

(Dokończenie).

I wątłemi rękoma, które obsadka wyczerpywała, Cypryan kreślił plany tej nowej pysznej rezydencyi, strojnej w rzeźby historyczne, podczas gdy w pobliskich kamieniołomach, robotnicy wydobywali już może ze skał kamienie czy głazy do tej pomnikowej budowli.

Jednakże przez kilka dni wyrzekał. Dla czegoż to ziemia rodzima nie przywracała go prędzej do zdrowia?

Stwierdzał wzrastające osłabienie i coraz większy spadek ciała. Nie mógł już prawie chodzić; a przytem miał szczególniejszy wstręt do jedzenia. Już na samą myśl o kotlecie, dostawał mdłości. Ach, kiedyż nareszcie uwolnię się od tej nędzy życia? Cóż warci są ci lekarze? Dla czego mu nic nie zapisywali? Czyliż nie widzą, że był chory? Ależ tak, chory, poważnie chory!...

Z surowym wyrazem oczu przyjął pana Labiscarra, kolekcyonistę z Bidache, gdy ten przyjechał na nową wizytę. Rzekł mu tonem, który daremnie usiłował złagodzić

— Doktór mnie zaniedbuje! Źle jest ze mną! Niechże doktór obejrzy, zbada mnie! Muszę mieć coś niedobrego w piersiach!

— Ależ nie, nie! — odparł Labiscarre obojętnie.

— Skądże pochodzi to osłabienie? Bo jestem strasznie osłabiony. Zapewniam doktora, czuję to! A przytem ta chudość. Przyzna doktór, że to nienaturalne... O niech mnie pan nie oszczędza! Ja bo się wcale nie łudzę, nie!

— To też ja pana nie oszczędzam! — oświadczył Labiscarre z całą powagą. — Powiedziałem już pańskim rodzicom, żeś pan źle zrobił, hulając w Bordeaux i w Paryżu, i że prędzej czy później musisz pan odpokutować. Z tego wycieńczenia fizycznego pozostało panu trochę anemii, depresyi moralnej; ale to tylko przejściowe, kochany panie. Jesteś pan młody, a młodość wszystko przezwycięży.

— Przyrzekasz mi to, doktorze?

— Naturalnie!

— Dajesz mi pan słowo honoru, że nic mi poważnego nie grozi?

— Ależ daję, daję! — odparł lekarz filozof.

Błyski odżycia mignęły w oczach Cypryana.

Ach, wyzdrowieć, byle prędzej!

Chciał żyć tylko na otwartem powietrzu. Co rano wyjeżdżał powozem, kazał się wieść do lasu, na łąki. Dwa do trzech razy na tydzień podjeżdżał aż do kościoła w Guiche, który panuje nad całą okolicą, i oddychał głęboko, dla nabrania życia w płuca, zdrowia dla całego organizmu.

Ach, jakże teraz kochał tę wieś ojczystą; ten zakątek ziemi, której soki miał w ciele swojem. Odgadywał ze wstydem, że byłby zdrowym, gdyby był jej nie porzucał, że mniej czarnych myśli krążyło by mu teraz po mózgu.

Całemi godzinami przebywał teraz wśród sosen smolnych, które z wiatrem przynosiły pomruki morza; a widok obłoków, kąpiących się w lazurze i unikających niejako pieszczot słońca, widok roślin różnych, zaścielających wzgórza okoliczne, zapach wina i kukurydzy, uśmiechniętych pod rosą, odloty ptaków, nabierających sił po burzy i otaczających drzewa z kropel świetlnych, a błyszczących jak drogie kamienie, brzęki pszczół, obsiadających ukwiecione krzaki, szum dojmujący szarańczy, który wzbijał się w rytmach wesołych, najmniejsze objawy życia zwierząt czy roślin rozczulały go, dodawały mu pobudki do tworzenia jakby tajemniczych poematów jakich.

Ach, zdrowia, zdrowia! Byle nie pozostawić Maryi innemu!

Gdyby jednak zechciał, czy nie zmusiłby choroby do ucieczki? Czy nie spłoszyłby śmierci teraz, kiedy szczęście się doń zbliżało?

Za powrotem z tych przejażdżek, stawał przed lustrem w domu, ażeby się przekonać, czy twarz mu nie przybrała ciałem. Poczem szedł do Kasi i pytał, czy matka nie znajduje, że się poprawił? Powietrze — to nie kuracya, to skutek! Będzie miał apetyt dziś w wieczór, no! jeden z tych apetytów rzadkich.

— Zobaczy mama! Proszę przyrządzić coś „extra“-dobre? coś z kwiatem pomarańczowym, byle cukru dużo...

Kasia wykonała to „extra“, to jest rodzaj ciasta z jaj i mąki pszennej, pieczonego w piecu, jak bułka.

Ale chociaż nie żałowała ani kwiatu pomarańczowego, ani cukru, Cypryan nie spożył więcej nad dwa razy w usta. A przypominając sobie, że kiedyś całego półmiska było mu zamało, Kasia wychodziła, byle nie płakać przy nim.

Pewnego dnia przyniesiono go zemdlonego ze spaceru. Trzeba go było znieść i przetransportować na łóżko. Otworzył oczy dopiero w kwadrans czasu.

Bruscail odgadł, że koniec się zbliża.

Kazał uprzedzić pannę Couloumerównę.

Przyjechała wieczorem. Usiadła w głowach łóżka Cypryana, jęła się doń uśmiechać jaknajczulej, pełna słodyczy i litości. Już na sam jej widok, tak świeżej w jej dwudziestej wiośnie życia, dusza konającego zdawała się czerpać ożywienia w jej oczach, tak jak zerwana lilja prostuje się za dotknięciem odrobiny wody. Wyzdrowieje, na pewno. Niech Mania pobędzie tu dwa, trzy dni najwyżej, to wystarczy! Wstanie, rześki i gotowy do zakosztowania wszystkich rojonych uciech!...

Od czasu do czasu wyciągał do niej ociężałą rękę, rękę już zimną i nie zawsze posłuszną rozkazom mózgu. Marynia rozumiała, ściskała tę rękę, trzymała ją bez odrazy

w swojej i wtedy Cypryan czuł, że wszystkie myśli różowieją mu, jak zmierzchy pięknego wieczora.

I on się uśmiechał; dla wszystkich miał spojrzenia dziecka zmęczonego, ale pełnego szczęścia. Nie miał najmniejszej urazy do ojca. O Bertrandzie mówił mało od czasu swego powrotu. Nie odwiedził go ani razu w Bardos. Ale Bruscail, który pragnął, ażeby się bracia pogodzili, wymówił imię młodszego pod jakimś pozorem i Cypryana to jakoś wcale nie podnieciło. Bo i dla czegóż miałby nadal nienawidzić brata? Wszak Marya kochała jego, Cypryana, wszak za niego wyjdzie za mąż, gdy on powróci do zdrowia!

Głosem głuchym, który zbliżające się rzęzenie czyniło już ochrypłym, zapytał:

— Cóż tam słychać u Bertranda?

Bruscail odrzekł skwapliwie:

— Zdaje się, że mu tam dobrze... Słuchaj synku, możebyś ty chciał go zobaczyć?

— Owszem! — szepnął Cypryan po chwili wahania.

I ręka jego ścisnęła nieco mocniej, z większem nieco drżeniem, miękką rączkę Maryi.

Bruscail niezwłocznie posłał umyślnego posłańca do Bardos, ażeby sprowadzić Bertranda.

W dwie godziny potem, młodszy przybył do Budy.

Kasia doniosła mu na kilka dni przedtem, że Cypryan umrze. To też z całą chęcią przystał na ucałowanie go po bratersku przed śmiercią.

Ach, gdy zobaczył go tak zmienionym, tak nie do poznania, na tem łożu śmierci, tego brata, który mu tyle złego wyrządził, uczuł szczególniejsze drżenie w skroniach.

— Jak się masz, Cypryanie! — rzekł doń nieśmiało: — więc jednak chory jesteś?...

— Owszem, lepiej mi... — wyszeptał konający, ściskając mocno, w ostatnim wysiłku drżącą rękę Maryi.

I chciał się poruszyć dla pokazania, że ma dość sił jeszcze; mówił głośno, ażeby przekonać, że płuca funkcyonują mu należycie. Mówił o tej rzeźbie z Saint Cloud, którą pragnął umieścić na froncie domu u samego szczytu pałacu, w którym zamieszka z żoną; mówił o samochodzie, którego jeden z jego przyjaciół chciał się pozbyć i który dałby się nabyć za bezcen... Pięć do sześciu tysięcy franków najwyżej...

— Taki samochód to byłaby rzecz bardzo dogodna, — zapewniał, zwracając swą bladą głowę do Maryi: — moglibyśmy jeździć co niedziela do Biarritz... Tak, tak, kupię go... Pięć tysięcy franków... Ba! Niech no tylko wino pójdzie trochę w górę...

Ale na skroniach pot mu występował, poczem słowa jęły mu się wydobywać z bezkrwistych ust prawie niezrozumiałe.

O zachodzie słońca, ozwał się tonem krótkim, robiąc ruch w stronę okien. Kasia odgadła, że chciał, ażeby otworzono to okno. Otworzyła je. Niebo ukazało się z poza obłoku a przez kącik okna oczy konającego Cypryana mogły widzieć parasol Budy, ozłocony promieniami zachodu.

Wtedy uśmiech przebiegł mu po twarzy, głowa się uniosła, jakby chciała być bliżej tej ubóstwianej pokrywy, tego nieba, tych wszystkich rzeczy, na które inni jutro spoglądać będą jeszcze.

Jedna z sąsiadek, pełniąca obowiązki dozorczyni przy chorym, zapaliła świecę gromniczną. Poczem inna łagodnie wyprowadziła Kasię za ramię, ażeby ją usunąć z pokoju, do którego śmierć wstępowała.

Matka tłumiła łkanie. Pochyliła się nad Cypryanem, ucałowała mu oczy, te oczy już zaszklone, na których powieki zapadały się stopniowo, jak słońce za parasolem Budy.

Wtedy, spojrzawszy na Bertranda, zrozumiawszy, że ten pozwala, że każe nawet, Marynia także pochyliła się nad konającym i pocałowała go swemi świeżemi ustami.

Podniósłszy się, spojrzała na Cypryana. Ale nic w nim się nie poruszało...

Umarł!

XX.

Pani Couloumerowa, wdowa po Janie-Baptyście i pani Couloumerowa, wdowa po Henryku, z domu de Flavilly, mają zaszczyt zaprosić WP. na obrzęd zaślubin panny Maryi Couloumerówny, swej wnuczki i córki, z panem Bertrandem Bruscailem.

Ślub odbędzie się we wtorek, dwudziestego dziewiątego października, w kościele parafialnym w Samach.

Zaproszenie to odbito w niewielkiej liczbie egzemplarzy, z powodu świeżej żałoby. I mało było gości w orszaku ślubnym w skromnym kościele w Samach, we wtorek dwudziestego dziewiątego października.

Ale pani Henrykowa Couloumerówna z domu de Flaville obiecała sobie wydać świetne zebranie tej zimy w swoim pałacu przy ulicy Pergoless.

Istotnie, wynalazła przy ulicy Pergolese blisko lasku, śliczny pałacyk, w którym młoda para przyrzekła spędzać do pięciu miesięcy co roku, a że jedno ze skrzydeł tego domu zostało wydzielone dla niej, marzeniu przeto, przyjmowania w pałacu własnym stało się zadość.

Niebawem ten dziki Bertrand wydał jej się chłopcem wcale przystojnym i do rzeczy. A przytem, gdy ze śmiercią Cypryana, stał on się jedynakiem, dziedzicem wcale poważnym, byłoby nonsensem pomstować jeszcze na takiego zięcia.

Jednakże nie mogła np. przebaczyć młodym małżonkom ich podróży poślubnej. Bo może im przyszło do głowy zarzucić myśl wojażu, a natomiast przejść się trochę po łąkach, po ceremonii zaślubin?

A naturalnie! Zamiast wyjechać do Sycylii lub do Hiszpanii, ten młody wieśniak zaprowadził żonę nad brzeg Biduzy, w sam dzień ślubu, i oboje zadowolnili się przepędzeniem dwóch godzin czasu ręka w rękę na pewnem pastwisku, znanem pod nazwą... Jakże tam... Ach, tak... łąki z pod Hountiny.

Także myśl!

Nie tak zła, szanowna pani Couloumerowa z domu de Flaville, bo trzeba pani wiedzieć, że zakątek ziemi, na którym poznali się nasi kochankowie, jest poświęconym na zawsze i że kwiaty, rosnące na nim, posiadają inne zapachy, aniżeli te, którymi szczycą się miejsca, rozsławione przez agencyę Cooka i przez pana Joanne'a.

— Nie, nie, najdroższy, nie mów mi, że mnie tak kochasz!... — szeptała Marynia, zaróżowiona, wzruszona pieszczotami męża. — Kochasz mnie trochę, ale Budę więcej! Wszak kiedyś przełożyłeś Budę nade mnie! Przypomnij sobie!...

Tak, Bertrand musiał przyznać, że dnia pewnego — ach, straszny to był dzień! — wolał Budę niż Maryę. Ale któż mógłby mieć żal za to do niego? Ziemia rodzinna, ziemia, z której się wyszło i do której się wróci, jakże nie kochać jej po nad wszystko?

— Gniewasz się na mnie, Maryniu? — zapytał, rumieniąc się z trwogi.

A Paryżaneczka odparła pocichutku, usta ich bowiem znajdowały się tuż przy sobie:

— O nie, nie, kocham cię może jeszcze bardziej za to, mój ty luby wieśniaku, mój ty kosiarczyku!

KONIEC.